Rok 1901. Lwów, 24. Marca Nr. 12.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 24. marca. Nr. 12.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 12:

Irlandya i Anglia.

O kwestyi irlandzkiej da się powiedzieć, że jak posąg rzymskiego bożka Janusa posiada dwa oblicza: jednem spogląda na ułożenie się stosunków agrarnych na szmaragowej wyspie, a drugie zwraca w kierunku swej zależności politycznej od Wielkiej Brytanii. Aspiracye narodowców irlandzkich dadzą się streścić w żądaniu przymusowego uwłaszczenia dzierżawców w dziedzinie stosunków agrarnych i wprowadzenia samorządu, dokładniej mówiąc: zupełnej autonomii w sprawach zarządu miejscowego. I jedno i drugie zdaje się być kwestyą bliskiej przyszłości.

Dwa razy, bo w r. 1886 i w 1893, próbował Gladstone nadać Irlandyi zupełny samorząd w sprawach miejscowych na wzór autonomii, którą cieszy się większość kolonij angielskich, i dwa razy usiłowania jego własnych stronników rozbiły się o spór parlamentu. Irlandya, twierdzili wówczas zachowawcy i tak zw. unioniści, nie dojrzała jeszcze do rządzenia się, a w zarzutach, stawianych przeciwko zasadzie *home rule'u*, przebijała wyraźnie obawa, czy dzięki wprowadzeniu autonomii w szerokim zakresie, w Irlandyi nie wzmogą się dążenia separatyczne, aspiracye Wolfe Tone'a i lorda Fitzgeralga, przywódców dawnej ligi zjednoczonych Irlandczyków, którzy marzyli o zupełnem oderwaniu szmaragdowej wyspy od królestwa Wielkiej Brytanii i ułatwili w r. 1798 dwukrotne wylądowanie wojsk francuskich na ziemi irlandzkiej.

Wychodząc z tego punktu założenia, lord Salisbury, doszedłszy do władzy po upadku gabinetu Gladstone'a, postawił program powolnego przygotowania ludu irlandzkiego do dobrodziejstw przyszłego *home rule'u* przez wprowadzenie reformy municypalnej na wzór angielskiego samorządu hrabstw i korporacyj miejskich w sprawach lokalnych w tem przekonaniu, że zajęcie się sprawami ekonomicznemi wyrobi w Irlandczykach odpowiednią dojrzałość polityczną. Skutki reformy niedługo kazały na siebie czekać. Bohaterstwo strzelców dublińskich w bitwie pod Talana-Hill, waleczność pułku muszkieterów inniskilingskich w dniu klęski pod Collenso, przedewszystkiem zaś śmieszność, jaką okryli się twórcy nieudanego projektu utworzenia legionów irlandzkich do walki z Anglikami w Afryce Południowej, wszystko to dowodzi, jak dalekimi są dziś te czasy, kiedy w Irlandyi liczono na pomoc Francyi lub na możliwość wybuchu wojny europejskiej dla odzyskania niepodległości politycznej. Pozwolenie żołnierzom irlandzkim przyjęcia trójlistka koniczyny w dzień św. Patryka, i podróż królowej Wiktoryi do Dublina dały ludności irlandzkiej możność zamanifestowania swych uczuć lojalnych względem korony. O zmarłej królowej angielskiej da się szczególniej powiedzieć, że jak Cezar przyszła, spojrzała i zwyciężyła. Jej wjazd tryumfalny od przystani kingstownskiej aż do pałacu wice-króla był szeregiem owacyj. Zarząd miejski Dublinu, składający się prawie wyłącznie z narodowców, złożył jej adres powitalny, a podczas nowych wyborów municypalnych, jakie się niedługo potem, jeszcze podczas pobytu królowej na ziemi irlandzkiej odbyły, kandydaci stronnictwa ludowego zyskali olbrzymią większość. Tak dalece zmieniła się opinia publiczna w Irlandyi od czasów nieudanej próby powstania w Tipperary i założenia tajemnej organizacyi fenian!

Zmianę tę, wywołaną wprowadzeniem do Irlandyi samorządu miejskiego i ziemskiego, umożliwieniem ludności miejscowej zajęcia się pracą organiczną i zwróceniem jej energii i sił przyrodzonych na sprawy, nic z tak zw. wielką polityką nie mające wspólnego, zrozumiano i odczuto w Anglii nawet w tych sferach, które w dobrej wierze twierdzą, że sam Pan Bóg połączył Irlandyę z Wielką Brytanią, i że moc ludzka nie jest w stanie rozerwać więzów tej unii.

„Gdybym był urodzonym Irlandczykiem — pisze np. unionista T. W. Russel — przedewszystkiem, gdybym był katolikiem irlandzkim, gdyby zniesiono parlament mojej ojczyzny, gdyby złupiono dziedzictwo mych przodków, gdyby odebrano mi sposoby kształcenia się, gdyby ograniczono moją swobodę osobistą, gdyby zdeptano wobec mnie wszystkie prawa Boskie i ludzkie. z pewnością w sercu mem nie zagościłaby miłość dla moich ciemięzców, nawet wówczas, jeżeliby ucisk i przemoc ustąpiły miejsca pewnym drobnym, niedaleko idącym ustępstwom. A polityka, jaką wskazałbym narodowi i parlamentowi angielskiemu, byłaby prostą i nieskomplikowaną. Rząd irlandzki powinien postępować zgodnie z życzeniami kraju. Rzuciliście nasienia samorządu na żyzną glebę irlandzką, uznajcie wypływające stąd konsekwencye i idźcie dalej w tym kierunku. Niechaj puls miejscowy bije swobodnie w każdej wiosce i w każdem miasteczku z tą siłą, jaką daje bezpieczeństwo i zadowolenie. Dodajcie do tego jeszcze jeden przepis, a skutek będzie wprost cudowny. Niech rząd angielski w kraju będzie rządem popularnym. Niech lud irlandzki będzie rządzony w ten sposób, w jaki rządzony jest lud angielski i lud szkocki. Niech rząd istnieje nie dla landlordów, ale dla całego kraju. Idźcie w tym kierunku, nie zwracając uwagi na wrzaski, niezależnie od tego, czy wrzeszczeć będzie zgraja zawiedzionych w swych ambitnych nadziejach karyerowiczów, czy też bezmyślny tłum uliczny. Strzeżcie się krzywd! Na tej drodze Irlandya pójdzie na wasze spotkanie.“

Program powyższy — to w gruncie rzeczy powrót do zasad gladstonowskiego *home rule'u*, przeciwko któremu w roku 1886 głosował sam mr. Russel. A *home rule* streszcza w sobie dzisiejsze polityczne aspiracye ludu irlandzkiego. Głosowanie w parlamencie angielskim nad wnioskiem Redmonda o przymusowem wy-

właszczeniu dzierżawców irlandzkich, doprowadziło, że dziś w kwestyi tej niema różnicy zdań pomiędzy skrajnymi przedstawicielami celtyckiego separatyzmu z Killarney, Glengariff lub Bantry i ulsterskimi oranżystami z Belfastu, Kerry, Ballymena i Lisburnu. Na drodze reform ekonomicznych niemasz już dzisiaj w Irlandyi śladów waśni dziejowej pomiędzy rasą celtycką, a anglo-saksońską. Czy to samo dałoby się powiedzieć o aspiracyach politycznych? Zdaje się, że tak. Nie ulega bowiem kwestyi, że ze zniesieniem praw wyjątkowych z usunięciem supremacyi narodowości uprzywilejowanych wytwarza się zazwyczaj wśród ras, na jednej ziemi zamieszkałych, pewna wspólność dążeń szczególniej, jeśli ziemia ta, jak Irlandya, stanowi wyspę, do koła morzem oblaną.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nie potrzeba być przewidującym i głębokim politykiem, aby widzieć, że obecny stan parlamentu jest tylko zawieszeniem broni, zawartem na pewien czas. Nie tają się z tem Czesi, że taktyki swej nie zaniechali, a tylko ją wstrzymali, i to nawet tylko do świąt Wielkanocnych, po których na nowo zastrzegają sobie „wolną rękę“. Że do powrotu do normalnych parlamentarnych stosunków bardzo jeszcze daleko, dowód w tem, że żadna ze spraw, będących przedmiotem sporu i osią wszystkich ostatnich burz, nie może być załatwioną — i niema też o tem nawet mowy obecnie. Tak samo rozbiłaby się z takim trudem doprowadzona do skutku chwilowa zgoda, gdyby którekolwiek stronnictwo objawiło poważny zamiar zmienienia regulaminu i dążyło do jego zrealizowania. Wreszcie nad parlamentem, jego względnym spokojem i jego chęcią załatwienia przynajmniej, najpilniejszych spraw zawisło, jak groźna chmura, widmo utworzenia prawdziwej parlamentarnej większości.

Tak więc warunkami dalszej pracy w dotychczasowym kierunku jest taki stosunek stronnictw, jaki obecnie zachodzi; jest nim dalej wybór tylko takich przedmiotów, który bądź przedstawiają korzyści dla wszystkich stronnictw, bądź też znajdują natychmiastową kompensatę w innych.

* * *

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy zarówno w parlamencie rzeszy, jak zwłaszcza w pruskiej izbie deputowanych wielokrotnie posłowie polscy, jako to: ksiądz Jażdżewski, ks. Radziwiłł, Głębocki, Mizerski i inni, energicznie i wymownie protestowali przeciw systemowi wynarodowienia, jaki rozplenia się coraz silniej na wszystkich niwach życia publicznego w polskich prowincyach pruskich. Pamiętne konferencye całej grupy ministrów pruskich w Poznaniu wydały swój owoc. Od owej chwili system zaostrzył się znacznie; każdy dzień przynosi nowe rozporządzenia dążności germanizatorskiej, nie mające nic wspólnego z konstytucyą, poręczającą równe prawa wszystkim poddanym korony pruskiej bez różnicy wyznania i narodowości.

Na wszystkie argumenty mówców polskich, których popierają dzielnie członkowie centrum katolickiego, mają ministrowie pruscy, Miquel, Studt i Reinbaben stereotypową odpowiedź, że wszystkie owe rozporządzenia wyjątkowe, aczkolwiek nie dające się usprawiedliwić konstytucyą, są konieczne wobec „agitacyi polskiej“, z każdym dniem potężniejącej w siły. Jakim cudem to potężnienie może się odbywać, skoro skutkiem gospodarki komisyi kolonizacyjnej z każdym dniem siły żywiołu polskiego szczupleją w Poznańskiem i Prusiech zachodnich, na ten paradoks zdołają odpowiedzieć tylko landraci pruscy, tendencyjnie informujący błędnie swoich ministrów.

Daleko logiczniejszą odpowiedź na frazes ministeryalny o agitacyi polskiej dają posłowie poznańscy w sejmie, którzy tłumaczą, iż niepodobna przecież żądać od ludności miejscowej, aby bez szemrania szła pod jarzmo kaudyńskie bezwzględnej germanizacyi. Gdyby rząd dzisiejszy zrzekł się walki eksterminacyjnej z mieszkańcami własnego państwa, naówczas przekonałby się rychło, że ludność polska w Prusiech jest żywiołem równie lojalnym i spokojnym, jak sąsiednia ludność niemiecka, że tak zwana „agitacya polska“ nie ma innego celu, prócz samozachowawczej obrony indywidualności szczepowej, która jest prawem przyrodzonem człowieczeństwa.

Uwagi te wywołała namiętna dyskusya, toczącą się w prasie niemieckiej nad świeżo dokonanym wyborem Polaka do parlamentu rzeszy z Poznania i okolicy. Niemcy podnoszą lament niebotyczny z tego powodu, kładąc nacisk na okoliczność, że po raz pierwszy wszystkie stronnictwa niemieckie, a mianowicie konserwatyści, wolnomyślni i nacyonal-liberały szli olbrzymią ławą jednolitą i głosowali wspólnie na wszechniemieckiego kandydata, p. Wittinga, a mimo to polski kandydat, p. Bernard Chrzanowski, zwyciężył znaczną stosunkowo większością głosów.

* * *

Uniwersytet peszteński był widownią zaciętej bójki na pięście pomiędzy służbą uniwersytetu i studentami liberalnymi, a grupą studentów katolickich. Katolicy zażądali umieszczenia, a raczej przywrócenia krzyżów w salach wykładowych, rektor żądanie to odrzucił, oświadczając, że nie pozwoli na przeniesienie sporów politycznych do uniwersytetu, a minister oświaty zatwierdził jego decyzyę. Studenci katoliccy jednakże nie dali za wygranę. Rano służba uniwersytecka zastała wszystkie sale otwarte i w każdej nad mównicą profesora krzyż przybity na ścianie. Powiadomiony o tem kwestor kazał usunąć krzyże. Tymczasem studenci katoliccy zebrali się w liczbie około 300 i wyrzucili służbę za drzwi. Studenci liberalni stanęli po stronie służby i władzy i rozpoczęła się bójka, która skończyła się ostatecznie wyparciem katolików z gmachu uniwersyteckiego. Oba stronnictwa zebrały się teraz na ulicy i wyruszyły przed parlament, aby prosić swoich posłów o poparcie. Wykłady w uniwersytecie zawieszono i senat zebrał się na posiedzenie, aby powziąć ostateczną uchwałę w sprawie umieszczenia krzyżów. Wobec prądu, panującego na Węgrzech, bardzo jest prawdopodobne, że życzeniom studentów katolickich nie stanie się zadość.

* * *

Obie wielkie kwestye polityczne, które od dziesiątków miesięcy pochłaniają uwagę świata politycznego i wyczerpują zarówno siły dyplomatyczne, jak finansowe mocarstw, utknęły znowu i przez pewien czas nie ruszą z miejsca.

Sprawa chińska utknęła na umowie mandżurskiej, która obejmować miała także Mongolię i Turkestan chiński, a obecnie podobno zamknie się w granicach samej Mandżuryi.

Utknęła również widocznie rozpoczęta w d. 27. z. m. akcya około przywrócenia pokoju w Afryce południowej. Jen. Ludwik Botha okazał się skłonny do porozumienia; na tej skłonności oparto osobiste spotkanie się z lordem Kitchenerem i wymianę obustronnych propozycyi. Od tąd minęły dwa tygodnie, a kwestya złożenia broni i zawarcia pokoju nie posunęła się ani na krok. Widocznie układy zahaczyły się o nieprzejednane usposobienie Krystyana Deweta, który w żadne kompromisy, wykluczające niezawisłość obu republik, wchodzić nie chce i szczęka dalej orężem.

Wobec niepowodzenia próby bezpośredniego porozumienia się obu stron o pokój i zgodę, nasuwa się znowu sprawa międzynarodowego pośrednictwa i nabiera ponownej żywotności projekt, rozwinięty niedawno przez słynnego ekonomistę Pawła Leroy-Beaulieu w *Economiste Français*.

Przewidywał on już przed dwoma miesiącami, że obie strony nie potrafią porozumieć się między sobą bezpośrednio i że okaże się potrzeba, aby ktoś trzeci, neutralny, rzucił swój głos doradczy i kojący na szalę. Pośrednictwo musiałoby się oprzeć na zasadzie samorządu obu republik pod protektoratem Anglii.

Jedyna to droga wyjścia, aby położyć kres wojnie eksterminacyjnej, która urąga cywilizacyi. Gdyby nawet Anglia nie przyjęła żadnego pośrednictwa, dla honoru tej właśnie cywilizacyi ktoś przecie krok taki uczynić powinien. Jeżeli Anglia ofiarę pośrednictwa odrzuci, natenczas odpowiedzialność moralna za okazany upór spadnie wyłącznie na jej barki; naówczas walka trwać może całe lata, rozprzęgając porządek państwowy Anglii, paraliżując jej swobodę ruchów na Wschodzie i gdziekolwiek, wyczerpując finanse państwa, które Anglia umiała dotąd zawsze na produkcyjne obracać cele.

Anna Neumanowa.

Czary i zjawiska pustyni egipskiej.

Na tej niezmierzonej okiem, pustej, szarej przestrzeni martwych piasków, co po prawym brzegu Nilu, na wschód od Kairu, w dal ku czerwonemu morzu sięga, w pośród wyżyn piaszczystych i kamiennych przepaści, w których minione dawno stulecia złożyły szczątki skamieniałych tworów i pokładów muszlowych, — ukazuje się nagle oczom naszym, na tle jaskrawem rozgrzanego skwarnem słońcem nieba, kilkadziesiąt pałacyków marmurowych i małych willi, otoczonych zielenią ogrodów. — Witają nas tutaj nagle w tej odległej pustyni dźwięki wojskowej muzyki, szmery wodotrysków i wesołe gwary tak europejskiej, jak arabskiej publiczności,zbierającej się licznie zwłaszcza zimową porą w tej sztucznie stworzonej oazie.

Oazą tą, zwaną szmaragdem pustyni, jest zdrojowisko Helnan o wiostr parę od Kairu odległe, a będące dziś ulubionem miejscem pobytu turystów, spędzających zimę w Kairze.

Zdrojowisko w pustyni! Kąpiele modne wśród szerokiego morza skwarnych piasków, czyliż to nie cud prawdziwy?

Ale exkhedyw Izmail Basza, dziad dzisiejszego wicekróla, posiadał w istocie czarodziejską róższczkę w złocie skąpaną, za pomocą której tworzył w mgnieniu oka pałace i teatra, zakładał wspaniałe ogrody, skwery, ulice, a nawet kąpiele w pustyni.

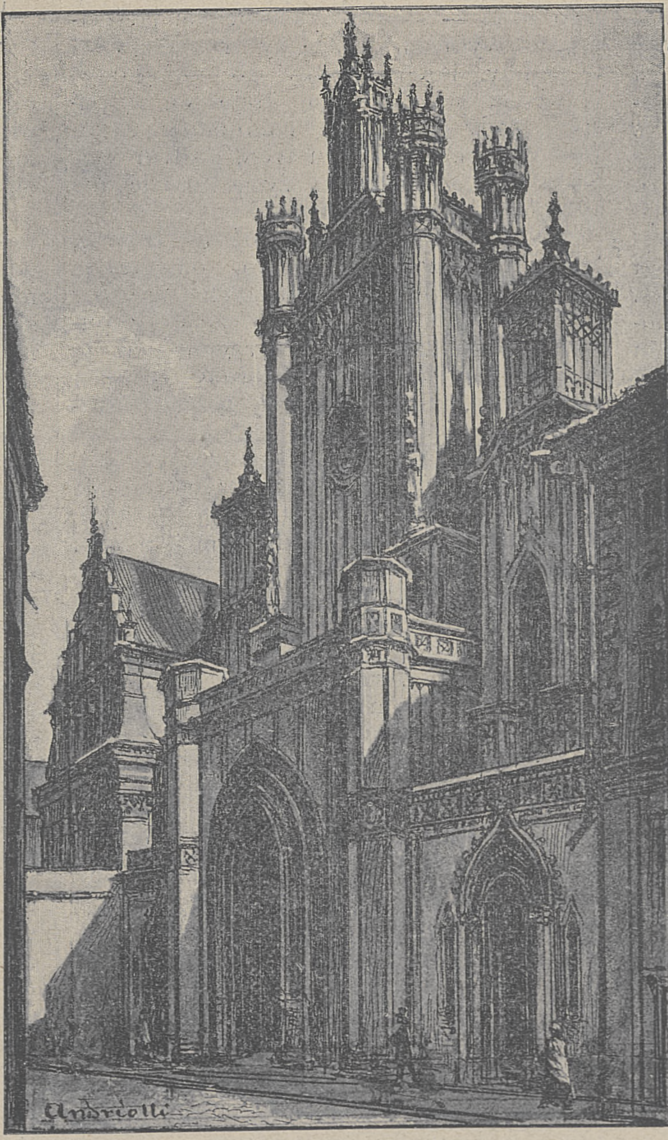
Miał on szczególniej dziwną manię przekształcania wszystkiego na sposób europejski. Kiedy Kair przemienił się był już w jego rękach na stolicę przepychu i zbytku nowożytnego; kiedy, jak gdyby cudem, wyrastały z ziemi przepyszne gmachy i ogrody, wtedy zapragnął Khedyw posiadać w okolicach stołecznego miasta modne kąpiele w guście Ischlu lub Vichy, któreby służyły za punkt zborny dla modnego świata, dla haute volée Egiptu.

Wezwany do narady przybocznej lekarz Khedywa dr. Rail dostał rozkaz pod karą niełaski, znalezienia bądź co bądź mineralnego źródła w pobliżu Kairu. Biedak długo łamał sobie głowę i myślał nad tem, jakby tu zadość uczynić zachciance despoty. Niby drugi Mojżesz błądził wśród pustyń, laską trącając o skały i błagając je o kroplę wody mineralnej.

W końcu z pomocą arabskich wieśniaków udało mu się odkryć siarczanosłone źródło.

Uradowany Khedyw kazał natychmiast rozpocząć roboty. Kawały suchej, piaszczystej ziemi porozdzielał między swych ministrów i służalców i szczodrą ręką sypał im złoto, rozdawał podarki pod warunkiem, by budowali na pustyni wille i pałace. Sprowadzono wodę Nilu, żyznym namułem pokryto martwe piaski, spędzono lud biedny do pracy, jak za czasów Faraonów — i w krótkim czasie stanął zakład, czarodziejska oaza w pośrodku cichej, tajemniczej pustyni.

Dziś Helnan podnosi się z dniem każdym, a wiedeńscy lekarze zalecają tę miejscowość, jako stacyę klimatyczną dla chorych na płuca, którzy pod namiotami dnie całe przepędzają. Powietrze jest tu w istocie nadzwyczaj suche i czyste, gdyż dokoła ciągną się nieprzejrzane pustynie, zamieszkałe tylko przez sępy i hyeny. Do zdrowia przyczyniać się mają także wyziewy słone, wydobywające się ze żwiru pustyni. Rankiem szczególniej żwir ten pokryty bywa skorupą solną, jakby szronem białym. Pochodzi to stąd zapewne, że cała ta przestrzeń tajemnicza była niegdyś przed setkami wieków łożyskiem morza, czego dowodem są tu całe pokłady ostryg i muszli,oraz odciski roślin i zyjątek morskich.



KOŚCIÓŁ NA ANTOKOLU.

Zwolennicy siarczano-słonych kąpieli w Helnanie utrzymują, iż w średnich już wiekach znane były mieszkańcom Egiptu lecznicze własności tych zdrojów.

Podczas panowania pierwszych książąt Mameluków, kiedy władcy owi, niegdyś służalcy dawnych Khalifów, szarpali w sztuki cudną Faraonów krainę, morowa zaraza raz po raz nawiedzała miasta Delty, a szczególniej więcej zaludniony Kair i często też krwawe napady najeźdźców lub rokoszan pustoszyły i krwią zalewały tę stolicę, perłę wschodu całego.

Wtedyto bogaci mieszkańcy Kairu bądź przed dżumą, bądź przed wojną uchodząc, chronili się w pustynię, tu rozbijali namioty, ukrywali swe rodziny i dobytek.

W tym to więc czasie powstała osada Helnan a między jej mieszkańcami miało już wówczas zasłynąć cudowne źródło, którego woda była leczniczym środkiem przeciwko dżumie.

Prócz siarczanych zdrojów, których się dokopał dr. Rail, a których ciepłota naturalna dochodzi 24 stopni Ream., cała ta przestrzeń pustyni arabskiej posiada liczne źródła i jeziorka słone, z których już starożytni Egipcyanie czerpali natron, niezbędny do płukania i czyszczenia ciał balsamowanych.

Na przeciwległym bowiem brzegu Nilu, naprzeciw Helnanu znajduje się nekropola dawnego Memfis, dziś zwana Sakkarą od arabskiej osady tejże nazwy.

Z okien zakładu kąpielowego w Helnanie widzimy cały wianek piramid i grobowych świątyń na wpół pogrzebanych w falach miałkiego żwiru.

Zamierzchłe te wieki nie wiele jednak pamiątek zostawiły w samym Helnanie. zaledwie kilka tablic grobowych, kilka drobnych posążków i grobowych lampek i to z epoki Ptolomeuszów, odgrzebano przy budowie gmachu kąpielowego. Sądzić nawet można, że i te wykopaliska należały raczej pierwotnie do nekropoli Memfickiej i z przeciwległego wybrzeża uniesione tylko zostały chciwemi rękami arabskich najeźdźców, łupiących dawne grobowce i cenne pamiątki Egiptu, gdyż starzy Egipcyanie nie wznosili grobowców i świątyń po wschodniej, lecz po zachodniej stronie Nilu, kędy Bóg słońce „Horus“ znika i gaśnie w tajemniczych Amontu krainach. Tylko więc pustynia libijska, bogata jest w gruzy starego Egiptu.

Za to wieki średnie pozostawiły w Helnanie kilka ładnych i zajmujących zabytków i smukłych kolumn arabskich i misternie żłobionych kamieni; mają to być szczątki pałacu jednego z Kalifów, który wygnany z Kairu tu, w pustyni życia dokonał.

Z dawnych kronik dowiadujemy się również, iż w pobliżu Helnanu w r. 700 Hegiry kazał kalif Melek el Naszer (t. j. król zwycięzca) wbić w łożysko Nilu słup marmurowy, tak zwany Nilometr na wzór staroegipskiego takiegoż słupa, a który w czasie wylewu wskazuje wysokość przybierającej powoli wody. Według takiego Nilometru, dziś umieszczonego koło wyspy Rhodah bliżej Kairu, regulują inżynierowie nawodnianie pól egipskich pracą przy otwieraniu przekopów i zrywaniu tam.

Wygodna kolej, przecinając przedmieścia Kairu, w trzech kwadransach przenosi nas ze stolicy do Helnanu; tuż za Kairem wspaniały widok roztacza się przed oczyma naszemi: dwie pustynie łączą się tu prawie ze sobą, przedzielone tylko wązką doliną Nilu ogrodzoną palmowymi gajami, gdyż Kair leży na samym krańcu Delty u granic górnego Egiptu. Z jednej strony

Helnanu ciągną się w nieskończoność ciemne, nagie skały pustyni arabskiej, od zachodu za Nilem ukazują się piaszczyste w złotych blaskach skąpane wzgórza pustyni Libijskiej, dźwigające siedmnaście piramid.[1]) Na północy zaś w dali, jak obraz „Fata morgany" w przejrzystych falach powietrza, nikną rzeźbione szczyty minerałów kairskich.

Helnan posiada kilka dogodnych i eleganckich hotelów, teatr, park i wspaniale urządzone łazienki, kto zaś, będąc chorym, uniknąć chce gwaru i tłumu, ten rozbija namiot na pustyni, której czyste, słonymi wyziewami przepełnione powietrze cudownie działa na płuca.

Do podniesienia tego zakładu kąpielowego przyczynił się wiele zmarły przed kilkoma laty Khedyw, Tewfik Basza. Przebywał on często w pałacyku swym w Helnan, gdy gwary i przyjęcia w stolicy zbyt go znużyły.[2]) Widywaliśmy go wtedy bądź w pustyni, jadącego na białym wielbłądzie w towarzystwie znanego w Egipcie beduina Solejmana, bądź w „dahabiji" na Nilu przy boku wicekrólowej, z którą etykieta muzułmańska nie pozwalała mu nigdy pokazywać się w Kairze. Miłą niespodzianką dla europejskich gości, przybywających do Helnan, jest widok krzyża na wysokiej, zdala widnej wieżycy katolickiego kościoła. Kościół ten stojący pod opieką austro-węgierskiego rządu wzniesiony został przed 5-ma laty staraniem włoskiego biskupa ks. Soggaro, przełożonego missyi centralno-afrykańskiej. Budowa ta w tak krótkim czasie ukończoną została, iż wtedy dopiero, gdy krzyż błysnął na jej szczycie, Arabowie spostrzegli, że Helnan niema jeszcze muzułmańskiego meczetu i że ich chrześcianie w tem ubiegli. Stanął więc wkrótce naprzeciw kościoła wspaniały meczet, którego otwarcie i poświęcenie według starożytnego arabskiego odbyło się zwyczaju. W chwili, gdy „Kadi" (najstarszy dygnitarz religijny) wraz z Khedywem przestąpić mieli próg meczetu, pięciu pachołków przywlekło przed świątynię dwa olbrzymie bawoły spętane i w oczach naszych zatopiło noże w ich szyjach. Przez fale krwi ciepłej, tryskającej z drgających jeszcze tułowiów biednych zwierząt, przeszli dygnitarze w progi świątyni, pozostawiając u wejścia swe obuwie (nawet Khedyw nie czyni w tem wyjątku i obuwie w progach meczetu pozostawiać musi.)

Od tej chwili przeciągły donośny głos muezzina rozlega się w pustyni, Helnan okalającej, wtóruje mu jednak często dźwięczny a rzewny pacierz dzwonów chrześcijańskich!

Wzniesienie kościoła katolickiego w Helnanie jest prawdziwem dobrodziejstwem dla przebywających w zakładzie chorych, których lekarze często w ostatniem stadyum suchot do Egiptu wysyłają. Przykro było dawniej patrzeć na tych nieszczęśliwych, pozbawionych nietylko przyjaciół i rodziny, ale nawet pociechy religijnej w ostatnich chwilach życia.

Nie zapomnę też nigdy zdarzenia smutnego, które miało miejsce w czasie mego w Helnan pobytu. Przybył tam młody Węgier, dogorywający prawie na gruźlicę z młodziutką i śliczną żoną, jedyną swą towarzyszką i.... opiekunką. Lekkomyślna kobieta nie miała jednak pojęcia ani o niebezpieczeństwie, grożącem mężowi, ani

[1]) Piramidy Gizeh, Daszhur, Sakkara.

[2]) Tewfik Basza, jak wiadomo, umarł w Helnan, gdzie ostatnimi czasy stale przebywał.

o pielęgnowaniu chorego, ani też o obowiązkach na niej ciążących. Wesoła, wystrojona, uśmiechała się zalotnie do wszystkich, stroniąc od męża, którego cierpienie widoczną w niej budziło odrazę. Biedny suchotnik odczuwał boleśnie tę niechęć żony i odpłacał jej nawzajem nienawiścią, choć zaręczano mi, że ubóstwiał ją dawniej. Cierpienie rozgoryczało mu znać serce, gdyż pasując się ze śmiercią, przeklinał on świat i ludzi, bluźnił Bogu i najświętszym uczuciom. Nadaremno starałam się często złagodzić tę dziką jego rozpacz; jedno spojrzenie na wesoło uśmiechniętą żonę, wystarczało, aby w nim znów wściekłość wzbudzić. Pewnego dnia dano mi znać, że choremu pogorszyło się znacznie, nie pytając go o zezwolenie, zatelegrafowałam do Kairu, wzywając lekarza [1]) i księdza, ale ci przybyli za późno. Straszna to była śmierć, gdy chory, ostatnich sił dobywając, miotał przekleństwa i odpychał cisnącą się teraz do stóp jego żonę — skonał z zaciśniętemi pięściami, z wyrazem rozpaczy i nienawiści w twarzy. Pochowaliśmy go nazajutrz [2]) (gdyż tak każe zwyczaj krajowy) w pustyni, kędy kilkanaście nagrobków wskazuje miejsce spoczynku tych, którym egipskie słońce gasnącego życia wrócić nie zdołało [3])

Na prostym wozie złożono trumnę, kilku fellaków grób kopało, odwracając z niechęcią oczy od naszych krzyżów i obrzędów, i usypaliśmy z piasków pustyni niewielką mogiłę, przytłaczając ją ciężkimi kamieniami dla ochrony od hyen i szakalów, które zazwyczaj groby rozkopują.

Smutny to obraz tych samotnych kilkunastu mogił i krzyży, pokrytych obecnie nazwiskami w cichej, dalekiej pustyni, kędy szum wichrów jedynym hymnem, a krakanie sępów i wycie hyen jedyną pogrzebową jest pieśnią.

Odwróćmy teraz oczy i myśli od tych smutnych obrazów, bo egipskie, jasne słońce i wesołe, ruchliwe życie, jakie się zwykle nad Nilem prowadzi, rozpraszają melancholię i ponure dumania.

Najmilszą rozrywką turystów, w Helnan przebywających, są wycieczki bądź ku zielonym wybrzeżom Nilu, skąd przeprawiwszy się przez rzekę, dostać się można na pustynię libijską i zwiedzić groby memfiskie [4]), bądź w pustynię arabską w stronę staroegipskich kamieniołomów Turry i Masary, skąd Egipcyanie dobywali materyał na swe olbrzymie grobowce i świątynie.

Wycieczka do Turry jest nader ciekawą i zajmującą nie tylko z powodu samych kamieniołomów i hieroglifów, pokrywających wewnątrz ich ściany, ale także dlatego, iż dążąc ku nim, przecinamy pustynię i poznajemy ją w całej jej grozie i niedającym się określić majestatycznym uroku. Niechaj bowiem nikt nie sądzi, że pustynia to gładka płaszczyzna, niezmierzone okiem łoże piasków szarych; pustynia arabska ma swe doliny tajemnicze i ciemne przepaście, swe wzgórza i skały. W dniu chmurnym i ponurym przestrzeń ta przygnębia nas złowrogą ciszą, przeraża ogromem swym i martwością śmierci; skoro jednak pustynia ską-

[1]) Obecnie mieszka w Helnanie dwóch lekarzy.

[2]) Z powodu skwarnego klimatu pogrzeby odbywają się w 24 godzin po śmierci.

[3]) Spotykamy tam kilka niemieckich i angielskich nazwisk

[4]) Piramidy „Memfis — Sakkarah".

pana w słońcu ubierze swe wzgórza w rubinowe i liliowe blaski, albo, gdy księżyc srebrzystemi smugami błądzi po jej dolinach i ścieżkach, natenczas zmienia się ona w kolebkę barw tęczowych, w morze mieniącego się ustawicznie światła. Przeraża cię swym obszarem, ale nęci zarazem obrazem nieskończoności, upaja powiewem swobody, mimowoli czujesz, iż tęsknić będziesz za tą przestrzenią jasną, jak ptak za błękitem powietrza.

To też beduin kocha swą pustynię, tak jak góral swe góry; podanie zaś arabskie opowiada, iż małżonka jednego z Kalifów rodem beduinka, otoczona przepychem haremów, umarła z tęsknoty za pustynią, a przed zgonem taką pieśń nuciła:

Milsze mi stokroć namiotu łachmany
Niźli więzienne tych pałaców ściany,
I dźwięczniej w puszczy gra wicher wzburzony,
Niż rzewna lutnia, niźli śpiewne flety,
I chleb w rodzinnym ognisku pieczony
Słodszy niż sztuczne w puharach sorbety.

Wycieczkę do kamieniołomów Turry odbywaliśmy zwyczajem krajowym na osiołkach. Śliczne to, rosłe i żwawe stworzonka, podobniejsze do górskich koników, niż do swych długouszych europejskich kuzynków. Oswoiwszy się z ich dobrym krokiem i niezbyt melodyjnym, a często odzywającym się głosem, galopowaliśmy raźnie przez doliny i wzgórza, zatrzymując się tylko czasami dla przyjrzenia się roślinom w pustyni rosnącym, jeźli nazwą rośliny uczcić można suche, kolczaste, do polipów podobne krzewy, z pod żwiru się dobywające. Było to w lutym, a więc w porze, w której, jak Arabowie mówią: „pustynia kwitnie". To też doliny pustyni pokryte były pękami róż Jerychońskich, które mają tę własność, że na pozór martwe i suche, otwierają się, gdy je dzień jeden w świeżą wodę złożymy[1]). Również ciekawą rośliną, jak róża Jerychońska, jest krzew „Zilla", zwany także krzakiem Mojżesza, gdyż jasno i łatwo płonie. Spostrzegłam też wiele innych nieznanych mi krzewów, których korzonki i jagody nietylko wielbłądom i naszym osiołkom, ale, jak mi mówiono, samym ich właścicielom Beduinom za pożywienie służą. Po trzygodzinnej galopadzie stanęliśmy wreszcie nad głębokim jarem, którego brzeg przeciwległy tworzył wysoką, prawie pionową skałę. Zjechawszy do parowu, znaleźliśmy z łatwością sztuczne wejście do grot podziemnych, które wspaniały przedstawiają widok: w obszernych sklepionych salach olbrzymie głazy, pokryte hieroglificznymi napisami, bądź leżą na ziemi, bądź na

[1]) Opowiadano mi w Kairze, iż róża Jerychońska ważną grała rolę w życiu Ferdynanda Lessepsa, który, jak wiadomo w podeszłym już będąc wieku, ożenił się z młodą Kreolką, narzeczoną swego syna Karola Lessepsa. Otóż dnia pewnego, znalazłszy się na okręcie, do Europy jadącym w towarzystwie kilku dam francuskich i swej przyszłej synowej, stary Lesseps, jak zawsze nadzwyczaj uprzejmy dla płci pięknej, ofiarował każdej z pań różę Jerychońską, zaręczając, iż to, o czem śnić będą, spełni się z pewnością, jeżeli się róże otworzą. Nazajutrz wszystkie panie opowiadały sny swoje, jedna tylko młoda Kreolka nie chciała wyjawić tajemnicy, drażniąc zalotnie ciekawość starego Lessepsa, którego sława cenniejszą się jej zdawała, niż uczucie narzeczonego. Nareszcie ostatniego dnia podróży, gdy oczarowany jej zalotnością i dowcipem Lesseps, ukląkł przed nią, błagając o wyjaśnienie tajemnicy, młoda dziewczyna odpowiedziała śmiało: „J'ai révé, que je n'ai pas été madame Charles mais madame Ferdinand Lesseps. — „Mademoiselle voila ma main"; — odpowiedział rozkochany starzec, zapominając o swym wieku i szczęściu własnego syna.

wpół ociosane tkwią w ścianach, ale wyryte na nich obrazy bóstw i hieroglify świadczą, iż były one przeznaczone do świątyń i grobowców.

Na jednym z głazów widzimy obraz króla Amazisa (dyn. 18-ta), kierującego wozem, napełnionym olbrzymimi kamieniami, z hieroglifów zaś dowiadujemy się, iż on to kazał otworzyć wejście do kamieniołomów w celu budowania świątyń i innych gmachów. Na innej znów płycie widzimy króla składającego ofiary bogom, dalej zaś znajdujemy wyryte rachunki i pomiary niezbędne przy wydobywaniu kamienia. Patrząc na te napisy na wpół ukończone, ale wyraziste i wybornie zachowane, zdawaćby się mogło, że praca w kamieniołomach tych nie przed wiekami, ale wczoraj dopiero przerwaną została!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Edmund Zechentner.

POWRÓT.

Na dużym, krytym dworcu kolei mroczno, ponuro... Dymy z lokomotyw wznoszą się pod szklany dach i wracają napowrót, pogrążając rozsypane grupy wsiadających do wagonów podróżnych w szarej pomroce.

Nawoływania, turkot wózków ciągnionych przez tragarzy, urywane słowa, głośne wykrzyki, ostatnie pożegnania — wszystko to zmięszane, zagłuszając się wzajemnie, rozlega się długą chwilę, wreszcie milknie. Odezwały się sygnały odjazdu, ciężkie sapanie lokomotywy — pociąg ruszył.

W wagonach, które wysunęły się z głębokich cieniów krytego dworca, pojaśniało; kamienice, domy i wieże kościołów zaczęły cofać się wstecz, potem szybko uciekać, zadźwięczały gwałtownie żelazne wiązania długiego mostu — wreszcie zniknęły ostatnie budynki, wieże i kominy fabryczne. Słupy telegraficzne ścigały się coraz chyżej, oddech lokomotywy stawał się coraz szybszym, a gęste kłęby dymu przelatywały jak szalone obok okien wagonów, zasłaniając widok na rozległe pola i pastwiska, nad którémi unosiła się mglista szarość smutnego marcowego dnia.

Stefan Rawicz odetchnął, jakby uwolniony od nieznośnego ciężaru. Przedział drugiej klasy był pusty; młody człowiek siedział tylko w towarzystwie swego ulubionego psa.

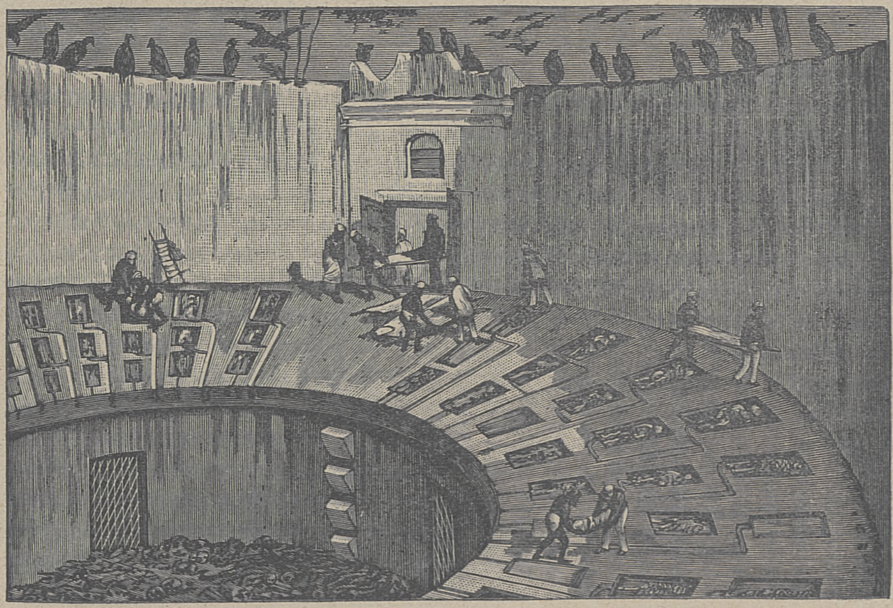
— Neptun! wracamy do domu! słyszysz? — rzekł głaszcząc głowę ślicznego legawca, który strwożony turkotem wagonu, tulił się do nóg swego pana. — Znowu będziemy wychodzić na dalekie przechadzki i ty znów zaczniesz swoje harce po łąkach i polach! Skończyła się twoja niewola w mieście!

Pies rozumiejąc, że pan coś przyjemnego do niego mówi, wsparł się łapami na jego kolanach i łasząc się, usiłował polizać go po twarzy.

Rawicz odsunąwszy głowę ulubieńca, kazał mu skoczyć na siedzenie, a Neptun usłuchawszy natychmiast rozkazu, ułożył się tuż przy nim, opierając pysk na jego kolanach.

Młody człowiek głaskał machinalnie głowę pięknego zwierzęcia, i siedząc nieruchomo, utonął w myślach.

...Niewola!... Istotnie niewola skończyła się, ale przedewszystkiem dla niego samego. On nie był urodzony do egzystencyi w dużem mieście. Nie był stworzony na urzędnika, którego ambicyą byłoby jak najszybsze zdobycie złotego kołnierza. Muzyka, stanowiąca dla niektórych z tych panów tylko rozrywkę w wolnych chwilach — dla niego była celem i nieodzowną koniecznością życia... Inną miał duszę niż oni wszyscy, inne dążenia, upodobania, ideały... Artystą był. Tworzył — i musiał tworzyć... Miewał podniosłe, błogosławione chwile, w których nagłe przypływy melodyi rozpierały mu piersi... Na dalekich przechadzkach chłonął w siebie muzykę pól, łąk i lasów, i pełen tych śpiewów, szumów i dźwięków wracał do swego wiejskiego dworku, zasiadał do fortepianu, i grał. Wówczas czuł w sobie radość i dumę i głębokie zadowolenie człowieka, spełniającego swoje powołanie.



„GŁODOWA" WIEŻA ŚMIERCI CHIŃCZYKÓW.

W ciągu półrocznego pobytu w mieście nie miał tych chwil wcale. Jego urzędowe zajęcie, do którego tak usilnie namówił go nader życzliwy kuzyn-hofrat, i w ogóle miasto zabijało w nim artystę. Żył jak wszyscy jego koledzy. Co dnia chodził do biura, a wieczorem do teatru, na koncert, lub na proszoną herbatkę. Bywał w kilku salonach, gdzie mamy były wprawdzie bardzo dla niego uprzejme, a panny obdarzały go szczególnem zaufaniem i przyjaźnią, lecz panowała tam mdła, konwencyonalna atmosfera, która go nieopisanie męczyła. Nie tuzinkowy, nie cierpiący wszelkiej banalności, czuł się bardzo nieszczęśliwym w tem otoczeniu. A w przygnębionym człowieku ginęła twórczość: te melodye rodzące się w nim niekiedy tak obficie, gdy był w swej wiosce rodzinnej, tu zamierały, czy uciekały gdzieś daleko, zostawiając po sobie coraz większą i rozpaczliwą pustkę. Możność dosyć częstego słuchania dobrych koncertów i oper, w tych warunkach nie wystarczała mu; on potrzebował nadto swobody, szerokich oddechów, rozległych łanów i innego, wolnego życia. Na roli zaś amatora, melomana nie mógł poprzestać; czuł w sobie siły do czegoś więcej.

Uczynił więc to, co wiedział, że pierwej, czy później uczyni z pewnością. Podziękował kuzynowi-hofratowi za dobre chęci, złożył pożegnalne wizyty wszędzie, gdzie bywał, oburzył wszystkich znajomych, którym nie mogło pomieścić się w głowie jego „dzikie" postąpienie i, nie czekając nawet zupełnej wiosny — uciekał...

Uciekał do swego małego dworku, do ciszy i samotności wiejskiej, do stosunków prostych i tak odmiennych od tych, co go tam otaczały, i rad był, że z każdą sekundą coraz dalej zostawia za sobą to duszne, zadymione więzienie, zwane miastem, z którego razem ze słońcem, powietrzem i zielonością wygnano swobodę, prostotę i naturalność; to istne piekło pełne zgiełku i wrzawy, gdzie zgraje luzkie, jak opętane, nieustannie walczą, szaleją i giną w pogoni za pieniądzmi... Bogacze, nigdy nie nasyceni, zdobywając je ciągle, bez wytchnienia, dla zaspokojenia swych nienaturalnych żądz i apetytów... Nędzarze, ratując się od śmierci głodowej z gorączkowym pośpiechem gonią za niemi i nędzą swą upodleni, poświęcają dla zdobycia ich wszystko: zdrowie, siły, godność ludzką, nawet niewinność własnych dzieci!... A na tych nieszczęsnych, którzy ich posiąść nie zdołali, rzuca się rozpacz i pastwi się nad nimi dopóty, dopóki nie zepchnie swych ofiar w otchłanie samobójstw lub zbrodni!...

Czarne, gęste dymy z kominów, kurz i pył ulic, wznosząc się nad dachami kamienic, tworzą jakby żałobny całun nad tą zamkniętą, odgrodzoną od wolnej natury kaźnią, w której wszystko w szalonym pośpiechu mięsza się z sobą, ściera, kłębuje i walczy... Lśniące karety przelatują obok nędzy w łachmanach i cichych

łez sierocych; ambitne wyścigi o władzę i zaszczyty depcą bezwzględnie zasługę i sprawiedliwość; blaga, niewinność, postęp i zdrada co dnia nowe święcą tryumfy; — a w tym zawrotnym chaosie śmiechów, jęków, przekleństw i łkań, wznoszą się w górę barwne sztandary zbawiennych idei i zagłuszają się nawzajem niezliczone hasła społeczne. „Równość! wolność! sprawiedliwość! obrona pokrzywdzonych!“ — rozlega się wszędzie, płynąc zatrutem powietrzem wilgotnych ulic i budząc w suterenach i na poddaszach przelotne uśmiechy nadziei... Lecz uśmiechy te gasną szybko, a tysiące nędznych i przedwcześnie złamanych postaci, jak jedna olbrzymia rodzina Laokoona, wije się dalej w wężowych uściskach nieubłaganego a wszechobecnego wyzysku, popełnianego w ukryciu prywatnego życia nawet przez tych najgłośniejszych, zawodowych apostołów sprawiedliwości!...

* * *

Złota, oślepiająca kaskada słonecznego światła wpada do wagonu, wyrywając Rawicza z ponurego zamyślenia. Wypogodziło się wreszcie!

Wstał, przesunął ręką po czole, jak człowiek budzący się z męczącego snu i spojrzał na zegarek. Była pierwsza po południu. Głębokie zadowolenie zamigotało w jego oczach. Za chwilę pociąg dojedzie do ostatniej stacyi, gdzie oczekują go konie — i za parę godzin będzie już w domu, w domu!...

Na małym przystanku pociąg zatrzymał się, konduktor otworzył drzwi wagonu, młody człowiek wysiadł, a za nim wyskoczył pies, który przesadziwszy w okamgnieniu parkan kolejowy, znalazł się na gościńcu obok znajomego pojazdu i uciechę swą objawiał radosnem szczekaniem.

Niemniej uradowanym był Walek, który w białej krakowskiej sukmance i czapce z wysokim pękiem pawich piór po „wielmożnego pana“ przyjechał. Ognie biły mu na twarz i oczy wilgotniały, gdy całując wielokrotnie rękę Rawicza, mówił, jak wszystkim „okrutnie cnęło się“ za panem, jak było „cichuśko i smutnieńko“ we dworze i jak „nijakiej ochoty do niczego“ nikt nie miał.

Gdy potem w poczekalni przybyły posilał się przekąską przysłaną przez „panią rzończynię“, Walek karmiąc Neptuna, nie omieszkał w dalszym ciągu zawiadomić „wielmożnego dziedzica“ o wielu wypadkach w gospodarstwie, zaszłych podczas jego nieobecności, kładąc szczególny nacisk na pomyślne i zabawne. Młody człowiek, który zresztą z listów rządcy wiedział o tem wszystkiem, nie przerywał sprytnemu chłopakowi. Miłą mu była ta gadanina młodego hultaja, co zanim wstąpił do dworu na służbę, obciążył nieraz sumienie „choinami z pańskiego lasu“ — ale teraz, wstydząc się tego, nagradzał błędy przeszłości szczerem przywiązaniem.

* * *

Wyjechawszy ze stacyi, Rawicz doznał olśnienia. Cały widnokrąg kąpał się w powodzi przejasnych blasków słonecznych. Po szarych, lub zazielenionych oziminą polach i żółto-brunatnych jeszcze łąkach rozlewały się szerokie strugi świetlane; na nagich konarach drzew kładły się jasnozłote wstęgi; w strumyki, rowy i miedze napełnione wodą, słońce sypało miryady skrzących się brylantów. A w tem przeczystem powietrzu, pod coraz pogodniejszym błękitem, rozlegał się głośny śpiew skowronków, wzbijających się coraz wyżej i wyżej...

I dziwną uroczystością tchnęło to wszystko — jakby natura obchodziła jakieś święto. Jakoż w istocie było święto: wiosna spływała na odrętwiałą ziemię, a słońce na powitanie rozlało jej pod stopy morze olśniewających blasków...

Po kilku godzinach drogi widnokrąg ścieśnił się. Wjechali w lasy. Powitały ich poważne szumy kołyszących się drzew, echa leśne i nagłe, krzykliwe świsty i świergoty dzikiego ptactwa, ukrytego w gęstwinach. Na garbatych pniach i konarach sosen, stojących na skrajach ciemnych alei leśnych, paliły się czerwono-złote blaski; głębiej, na rdzawem posłaniu szpilkowem, igrały tysiące jasnych światełek, ścigając się, rozlatując, wybiegając na wysmukłe pnie, lub przekradając się na błotnistą drogę, gdzie jak sznury pereł i brylantów, ciągnęły się mokrymi śladami kół.

Kiedy niekiedy przerywały się zwarte zastępy sosen i świerków, i na tle jasnego błękitu ukazywały się jak w panoramie to gromady białych chat z szeregami małych okienek, w których słońce zapalało purpurowe blaski, to rozrzucone po odległych wzgórzach kępy nagich jeszcze drzew z wierzchołkami błyszczącymi jak pęki złotych prętów, to niespokojnie, rojące się od mnóstwa żywych połysków powierzchnie stawów i sadzawek, to wreszcie długie, ciemne ściany dalekich borów, na które zaczynały już zapadać zasłony niebieskawych mgieł.

Konie uradowane, że wracają do domu, parskały wesoło, wyrzucając głowami; Neptun w szalonych susach przebiegał drogę, przesadzał rowy i wpadał w las, węsząc za zwierzyną i ogłaszając czasem jej bliskość piskliwem szczekaniem, które podawały sobie echa coraz dalej, dopóki nie rozpłynęło się w tajemniczych szumach drzew.

Nagle na skręcie wyrosła jakaś postać i zbliżała się. Szedł pierwszy człowiek, którego mieli spotkać na drodze. Biała płótnianka wynurzywszy się z cienia, zajaśniała w smugach świetlanych, potem znów wpadła w szarość, wreszcie przebiegły po niej drżące światełka — i ciężkim krokiem idący wieśniak zbliżył się do bryczki. Mijając ją, odkrył siwą głowę i pochylony, rzekł:

— Niechaj będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odparł młody człowiek i zdziwił się, usłyszawszy własny głos, zmieniony i drżący od głębokiego wzruszenia.

* * *

Do tej chwili pochłonięty czarodziejstwem świateł, szumów leśnych i radosnych odgłosów budzącego się życia, tonął w błogiem unicestwieniu. Jego myśli i świadome poczucia rozpłynęły się w przejasnych prześroczach powietrza, głębokich cieniach leśnych i świetlnych blaskach, rozsianych po niebie i ziemi. Przestał być sobą, przestał czuć w sobie odrębne życie — i zgubiwszy się w ogólnej wszechradości, z nią razem, nieświadomie radował się, i kochał, i modlił.

Dopiero pozdrowienie wieśniaka ocuciło go. Uczuł się ogromnie szczęśliwym, chłonąc znów w siebie te nieśmiertelne melodye natury, i usłyszał w własnem wnętrzu jakieś głosy — a były to głosy miłości i dziękczynienia...

Kocham was, lasy szumiące! ptaki rozradowane wiosną! słońce, które pogrążasz świat cały w oceanie świateł i barw!... I wszystko kocham, co widzę, co mnie tu otacza, i otaczać będzie tam, w mojej wiosce! I dzięki za to, że żyję, patrzę i słyszę, i kochać mogę, i upajać się tą boską harmonią... Za wszystko dzięki! chwała! cześć!...

A natura cała także pełną była tych głosów. „Dzięki! chwała! cześć!“ brzmiało w cienistych głębiach i płynęło ponad kołyszącymi się lasy, zlewając się w jeden hymn radości i dziękczynienia, słowa wieśniaka zaś były hymnu tego jednym harmonijnym akordem więcej.

Więc rozśpiewały się w wezbranej piersi artysty wszystkie te szumy i szczebioty, i echa leśne, i poswisty dzikiego ptactwa — i wówczas poczęła się wzniosła, potężna pieśń, której twórca dał później tytuł: „Modlitwa lasów“.

Kazimierz Bielański.

Z polskiego Parnasu.

I.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Poezye. Serya IV.

Cisza, Przestrzeń, Światło — oto trzy nowe umiłowania Tetmajera, będące głównym tematem jego IV. seryi poezyi. W nich się kocha, za niemi tęskni, o nich myśli i śpiewa. Przestrzeń i światło są jego stałym żywiołem — cisza nie zawsze przypada mu w życiu ziemskiem udziałem, lecz jej pragnie, za nią tęskni, jej szuka, w niej w połączeniu z tamtemi dwoma widzi szczęście. I często tę upragnioną ciszę znachodzi i w niej tonie, w rozmyślaniu, marzeniu i ukojeniu. By znaleść Ciszę, która jest jakby jego Duszą, płynie samotny poeta po Królewskiem jeziorze — w około niego lasów i urwisk rozległa pustynia, a pod nim bezdeń wody, granity nad czołem.

Czarna, bezdenna woda wiatrem kołysana,
Dziko szemrze i jęczy. Skalne krzesanice
Wpadają w nią i toną, rwąc w odmęt źrenice,
Które odtrąca twarda, prostopadła ściana.
Dziwna, ponura czarność tej ogromnej wody,
A ponademną, w bezmiar wyniesiona szczytem,
Góra śniegu, pochmurnym owiana błękitem
Pochylona, olbrzymia — Bogu z nieba schody.

Wpłynął w wąski, skalny zakręt, wstrzymał łódź — wkoło taka głusza, taka cisza, jak gdyby nie było istnienia... Milczy las, góry, wody, śniegi. „Jestemż?! Czylim w otchłanie wpłynął własnej duszy?!“ Czy te góry olbrzymie, ten las, owa gra chmur i słońca w wyżynie zawrotnej; to wszystko pogrążone w jakiejś wielkiej głuszy — czy to dusza zjawiona w całej swej pełni? — Tak, to nieznana, tajemna, ogromna, straszliwie bezdenna dusza ludzka. Tyle załomów, kotlin, szczytów — przestrzeń taka — to dusza ludzka. Jakże różna od tej, która się mieści w domu, rynku i kościele. Jakie

... zjawisko cudowne, olbrzymie!
Potworne swą wielkością, straszliwe swą siłą!

Ozwij się, duszo, głosem godnym twojej mocy, duszo ludzka, dumna, wielka, górna, otwarta.. słońcu, cicha, wielka jak świat, tajemna jak las o północy. Stoję przed tobą, jako przed olbrzymim tumem, w który lękam się wejść — bobym w nim zaginął. W obec ciebie mózg w tył się toczy, zmysły bezwładnieją... Milcz na Boga! zabiłabyś twemi słowy.

Jeden On z tobą może mówić, słuchać ciebie,
O duszo ludzka w prawdzie i w jawie widziana...
Za wielkaś! Otchłań w tobie, otchłań nieprzej-
[rzana,
Mieszcząca wszystko, co jest na ziemi i w niebie.

I tak dusza ludzka, dusza poety przed męką bieży z wiru życia w Zaczarowany las, błądzi po Zapadłych jeziorach, co marzą o tym świecie, gdzie jest słońce, śni Wizyę pustyni, a na każdem miejscu i o każdej dobie towarzyszy jej straszna, nieodstępna Ironia, każdą myśl, każdą chęć truje, psuje każdy poryw, każdy czyn — jest klątwą i klęską żywota i nic nigdy nie wyrwie z jej ręki. Wszystko wzniosłe, miłość, braterstwo, poświęcenie, wiara, szlachetność, męstwo, czystość, dzięki jej staje się brzydkiem i wstrętnem. I choć kiedyś śmierć od niej wyzwoli, zostanie nieświadomość, co za nią czeka. Tak nawet w godzinie śmierci jej śmiech wyziera piekielny. Lecz czasem przychodzi dawny, dobry Gość, siada naprzeciw, kładzie ręce — twarz ma bladą, oczy smutne ogromnie.

Patrzymy na się... ileż to my razy,
Ileż to godzin tak, jak ot w tej chwili,
Tak my na siebie patrząc, przepatrzyli
I nie mówili nic — czem są wyrazy?!

Gość patrzy w duszę i czyta w niej, jak kochająca w kochanku kobieta. Jak karta po karcie roztwiera się dusza, wszystkie swoje wyjawia bóle, smutki i całą dziwną tęsknotę, dla której nieba za mało i wszystkie dziewicze pragnienia, bo każda dusza ludzka ma do końca swoje dziewictwo i swój wstyd i nawet przed Bogiem się kryje, jak Ewa w płaszcz włosów, swój srom widząca. Lecz gość zna duszę oddawna, widział ją, kiedy czuła się przeklętą, kiedy dumną. Zna ją i ilekoć się zjawi, ma zawsze dla niej tenże sam półuśmiech smętny i w oczach coś waży, ale nie mówi nic... czem są wyrazy? — kto jest ten gość? Z ciemnego ukrycia nocy wychodzi, jak duch, snadź zdal idzie... Może to rdzeń człowieka, co zna całą nędzę ludzkiego życia. I znów W godzinie smutku

Bezdeń, samotność... Na ziemi i niebie
Nic... Ani Ducha Bożego nad głową,

więc tęskni poeta i woła De profundis...

O morze, morze! czyli jest na tobie
Gdzieś wyspa taka, gdziebym mógł być sam,
Jak w grobie?
O! niechaj pójdę tam...



WODOSPAD NIAGARY.

I podnosi wzrok Do szczytu, tam gdzie nic nie ma, prócz pustki, potęgi i dziczy — tam przestrzeń!...

Tam cisza... Tam milczenie zaległo olbrzymie,
Majestat martwych sfer;
Na wiecznej się oparło niemej, białej zimie
I duma... Śni o wielkim, wszechmocnym Olbrzymie
Co dzierży świata ster.
. . . .
On, który stworzył życie i śmierć, czas osadził
U złotych słońca szprych;
On, który byty stworzył, a drugie wygładził,
On, Bóg świata, co gwiazdę o gwiazdę zawadził
I koła spętał ich.

Tam o tym Olbrzymie śni ciche Milczenie i wodzi okiem po błękitach, a u stóp w dole płynie życie, płynie krew, płyną łzy, więc daj, o szczycie górski, jedną twoją błyskawicę, jeden blask czysty, jednę skrę, ciemność, — noc wkoło — daj blask, by świecił w duszy i płonął, by grzał ją w noc i chłód.

Bowiem patrz! Dusza ludzka wali się i kona,
Jej strawą: pył i kurz;
Dusza ludzka jest prochem ziemi udręczona,
Ona chce wstać i wzbić się! I rwie się szalona
W bezdeń!...

Przestwory mórz, pustyń pola, stepów skres — niczem dla niej, ona chce lecieć w bezmiar sfer — tam gdzie nie ma początku i nie ma przystani, gdzie wieczny starzec dzierży światów ster.

I dusza ludzka leci, leci gdzieś w zaziemskie sfery, lecz z tej podniebnej, szalonej wędrówki wraca (Dusza powrocie) jak cień blada, smutna, trwożna. Przyszła jak widmo, jak cień, jak konanie. Drży i patrzy w oczy, jak pies, co zwlókł się i wraca ku nodze. Krew broczy jej stopy. Zziębła, blada nie czuje bólu, krwi na stopach. Długo błądziła kędyś — lecz gdzie jej skrzydła? gdzie skrzydła?! Jak orzeł dwoje szerokich skrzydeł miała, jak orkany! Gdzie skrzydła? — Ta sama dusza, co tam na Jeziorze chłonęła w siebie świat, przyszła pokorna z bezwładną ręką i schylonem czołem.

W źrenicach suchość masz, w skroniach pożogę,
Twe skrzydła strzęp, proch duma twa i siła,
Na stopach twoich krew... Wiem już gdzieś była,
Anioł cię śmierci wwiódł na swoją drogę.

Streściłem obszerniej utwory z cyklu „Dusza“, w którym tak wybitnie ujawnia się nowy ton poezyi Tetmajera. Nie wystarcza mu już jak dawniej kształt, piękno i czar kobiecego ciała, nie wystarcza samo odtwarzanie wrażeń odbieranych od przyrody — poza kształtem, linią, krajobrazem, dźwiękiem, szuka duszy, szuka idei, oddaje się kontemplacyi nad przeznaczeniem człowieka, staje się z poety-artysty poetą-myślicielem, nieprzestając nigdy być artystą. I choć w poprzednich seryach poezyi sfera myśli nie była mu obcą, jednak utwory poświęcone refleksyi były sporadyczne, dziś dominują.

Po cyklu „Dusza“ następuje cykl „W pustce“, zawierający trzy poemata refleksyjne: Na szczycie, W milczeniu, W wyobraźni. Pierwszy z nich jest najpotężniejszym i najpiękniejszym.

Na szczycie. Wokół poety złomy granitów dzikie i olbrzymie, pod nim jeziora, a tam niżej, niżej świat, życie, nędza ludzka. Nad wszystkiem jest cierpienie... O, gdyby z tej góry sięgnąwszy ręką schwycić kołowrót świata i bieg jego zmienić, ażby jedna pieśń olbrzymia, pieśń szczęścia runęła w niebo i gwiazdy zdumiała. Czyż nigdy nie zabrzmi? Nigdy tryumfalny jej głos nie wmiesza się do cudownej melodyi wichrów, mórz i lasów? Nigdy oczy ludzkie nie będą jak kwiaty uśmiechnięte ku słońcu? Nigdy dusza ludzka nie będzie jak słońce promienna i gorąca, jednem tylko czuciem przejęta, aby ciepło rozrzucać i święcić? Nigdy?——

... choć nam filozofia i poezya cały
Bezmiar, całą głąb złego przed oczy postawi,
Pokaże całą nędzę ludzkiego żywota,
Całą niemoc człowieczej samoistnej woli,
Całą jego zawisłość od Woli tajemnej,
I wszystkich jego pragnień źródła, i maszynę
Wszystkich jego postępków, uczynków i myśli
Na najdrobniejsze cząstki składowe rozbierze?
Czyż przez to ludzkość będzie szczęśliwszą? zło [mniejszem?...
Są, którzy ukochali ludzkość: czyż nie widzą,
Że ta miłość jest niczem?... Najstraszliwsze [z uczuć,
Najstraszliwsze, najgorsze, najsroższe uczucie
Niemocy woli ludzkiej, bezsilności ludzkiej
Wobec Woli Tajemnej i Jej głuchej Siły!

Góry, jeziora, jak wy jesteście szczęśliwe, wy nie możecie czuć, myśleć, chcieć. Jesteście bezwładne, lecz nieświadome i to jest wasze szczęście. O gdyby nie mieć wiedzy swojej doli, jak jej nie ma granit szczytów, piorun, który go rozbija i te jeziora, które od lawin głazów zwolna znikają, ale nie wiedzą o tem. Ta nasza wiedza jest naszą straszną nędzą, jest Strachem, który pęta ramiona Odwadze. Przed tą niedolą rozwagi i wiedzy, dwie są tylko ucieczki: szał i wyobraźnia.

Kiedy kobietę, ciało, nazywam aniołem,
Gdy dla idei życie poświęcam bez żalu,
Kiedy mię twórcza władza w zaświaty uniesie,
W nigdzie nieistniejące idealne światy,
Gdy stracę pamięć: wtedy mogę być szczęśliwy.

I gdy tak rozumuje poeta, z czeluści skalnej wstaje widmo, okiem jak sztyletem przebija i krew swym okropnym uśmiechem ścina. . . . .
Ironia...

Znam cię, o znam cię widmo! Ty z pierwszym [promieniem
Słońca przychodzisz rano, w południowym dzwonie
Ty dźwięczysz ponademną, ty o zmroku we [mgłach
Wieczornych nad mą głową zawisasz w przestwo- [rze,
Ty z nocnych cieniów i gwiazd wychylasz się ku [mnie.

Za jakąż zbrodnię ta straszna klątwa? Za jedną chyba: Wątpienie... Nie wierzyć, wątpić: lepiej znicestwieć i przepaść! I to chwila zachwycenia.

Płynie poeta — duch poety — cichy i świetlany przez nieskończone przestrzenie, oceany wieczności, w nadświatową dal, w gwiazd otchłanie, płynie z światłem, co potokiem w bezmiar się rwie. Przy nim z słońc ziemie się rodziły, szybowały i ścięte w lód znów padały w słońce. Giną, by znów wstać i ginąć. Wieczny ruch, przemianę bytu, wieczną śmierć i wieczne życie, widzi płynąc przez błękit i bezdenie sfer. U stóp jego czas się kłoni i z gwiazd gwiazdy się tworzą. Wszechmocny Ruch Istnienia toczy koło. — Cichy, boski sen... Dusza człowieka! czyż nie jest częścią wszechduszy świata, oderwaną i w część wszechmateryi świata zamkniętą?! ....Ciszy! Przestrzeni! Światło! o ty święta ojczyzno ducha! W was on żyje, taki jak wy, czysty, święty — kiedy roztoczy skrzydła, tęcze z nich biją i łun płomienie, usta jego jak struny wichrowe, oczy jak gwiazdy, serce jak kwiat polny, ramiona jak pioruny, a jak oceanu przypływ — jego wola! On stwarza Piękno, Dobro — a zło, wstręt, brzydotę skrzydłem jak pył zmiata, leci jak anioł pokoju i szczęścia ku ludzkości — jest dla niej chlebem i różdżką oliwy, i gdyby przez swoją boleść mógł kupić dla niej szczęśliwość wieczną: umarłby szczęśliwy — lecz ta klątwa, co ciałem się zowie, budzi go ze snów. Wieczny, nieustanny ból ducha! Nie ma zwycięstwa nad zmysłów przemocą. Ciszy! Przestrzeni! Światło! Ty święta Trójco duszy — powiedzcie, co jest przed światem? Co jest przed człowiekiem? Co jest przed duchem?... Milczenie!... Pędzi, huczy, wiek za wiekiem — przelata fala ludzka — przelata odwieczne Istnienie. Jak lawina głazów w przepaść, tak wieki giną w Bezdeni — a ponad ziemią lśni niebo i słońce... Słowa, oh słowa rozwiązania zagadki bytu, tajemnicy cierpień! Pociechy w chwili szału i konania!..

Chryste! Dlaczego masz tę twarz straszliwą?
Włosy, jak z miedzi? oczy jak ze grzmotów?
Dlaczego ręką wstrząsasz, jak lew grzywą?
Dlaczego usta Twe pełne milczenia
Gorszego niźli pożarnych łoskotów?
Dlaczego milczysz?... Chryste! Chryste! Chryste!
Przez męki świata i bóle wieczyste
Przemów!... Posągu olbrzymi na stropie!
Straszna Światłości w błyskawic potopie!
Straszna Białości na nieba błękitach!
Straszliwa Głuszo wśród jęku i zgrzytów!
Straszliwa Góro na chmurach i szczytach!
Straszna kolumno wśród wieków i bytów!...

Chryste! ogrom Twej Miłości jest czemś tak nadludzkiem i niepojętem, że co miało być Żywotem, staje się trwogą. Ludzkość nie mogąc zdążyć za Tobą, z pod nieba upada w piekło, a Ty jej nikniesz i gdzieś w błękitnem, dalekiem przezroczu postać Twoja się ukazuje i rośnie w Przerażenie...

(Dokończenie nastąpi).

Adam Stodor.

Miesięczną schodzisz do mnie nocą...

Miesięczną schodzisz do mnie nocą,
Strojna w dyadem gwiazd złocistych,
Duszy mej z Łaską i Pomocą —

W szatach się kryjąc powłóczystych,
Schodzisz w księżyca srebrnej bieli,
Po drogach światła promienistych —

Zjawiasz się, gdyby cud anieli,
I piersi mojej koisz łkania
I cierń usuwasz, którym ścieli

Drogi me jakaś moc tytania,
Co stopy krwawi me i skronie,
Budząc rozpaczne w duszy grania —

Wtedy to, wtedy na Twem łonie,
Znajduję ciszę odpocznienia
I wymarzone szczęść ustronie —

Przetoś mi zjawą wybawienia,
Dawczynią Łaski wymodlonej,
Zwiastunką bolów ukojenia —

I przeto słucham Baśni onej,
Którą mi śpiewasz Jasnolica,
O Twej miłości nieskończonej —

Baśni, co duszę mą zachwyca,
Baśni, o ciszy i kochaniu,
Baśni, o wiecznem szczęściu trwaniu...

Piotr Altenberg.

WIECZÓR W TEATRZE.

Nie mogła pudla wziąć ze sobą do teatru. Został tedy pudel przy mnie w kawiarni i oczekiwaliśmy panią.

Usiadł z oczyma zwróconemi ku drzwiom wchodowym a ja uważałem to za stosowne, chociaż nieco przesadne, gdyż było $^1/_2$8 a mieliśmy czekać do $^1/_2$12.

Siedzieliśmy i czekali.

Każdy przejeżdżający wóz budził w nim nadzieję i za każdym razem mówiłem do niego: „To nie możebne, ona nie może jeszcze przyjść, pomyśl, to niemożebne“. Czasem mówiłem do niego: „Nasza piękna, dobra pani — — —!“

Był prawie chory, ztęskniony, zwracał ku mnie głowę:

„Przyjdzie czy nie przyjdzie?!“

„Przyjdzie, przyjdzie — — —“ odpowiedziałem.

Raz porzucił swe stanowisko, przyszedł do mnie, położył łapy na moje kolana, a ja całowałem go.

Jak gdyby do mnie mówił: Powiedz mi przecież całą prawdę, ja wszystko mogę słyszeć!

O dziesiątej zaczął skomleć.

Wtedy mówiłem do niego: Czy myślisz mój kochany, że mnie nie tęskno? Trzeba się opanowywać!

Nie przywiązywał wagi do panowania nad sobą i skomlał.

Potem począł cicho płakać.

„Przyjdzie czy nie przyjdzie?!“

„Przyjdzie, przyjdzie — — —.“

Położył się całkiem na podłodze, a ja siedziałem skulony na krześle.

Nie skomlał więcej, patrzał na drzwi wchodowe, podczas gdy ja patrzyłem przed siebie.

Było $^1/_2$12.

Przyszła. Szła słodkim, łagodnym rytmicznym krokiem, całkiem spokojnie i powolnie, powitała nas łagodnie.

Pudel wykrzykiwał radośnie, śpiewał i skakał.

Ja jednak zdjąłem z jej ramion jedwabny płaszcz i powiesiłem na haku.

Potem usiedliśmy.

„Tęskniliście?!“ rzekła.

Jak gdyby ktoś mówił: „Jak się pan ma mój najlepszy?!“ Albo: Uniżony „N. N.“

Potem powiedziała: „O, w teatrze było tak pięknie — — —!“

Ja jednak odczuwałem: Tęsknoto, tęsknoto, ty co z serca ludzi i zwierząt płyniesz, płyniesz i płyniesz, dokąd ty dążysz?!

Jak powietrze wodnymi oparami musi świat napełniać i ciężyć tęsknotą, która przyszła i nie natrafiła duszy, coby ją w siebie wchłonęła!

Co staje się z tobą, ty najlepsza, najdelikatniejsza tęsknoto, gdy nie natrafisz na duszę, coby cię w siebie wchłonęła, chciwie, przemieniła cię we własną siłę?!?

Tęsknoto, tęsknoto, ty, co z serca ludzi i zwierząt płyniesz, płyniesz, płyniesz, dokąd dążysz?!?

NEO-ROMANTYZM.

Henryku Frauenlob, Walterze z Vogelweide, Hölty, Hölderlinie, gdzie jesteście?!

Czy wasze aksamitne stroje w strzępy się rozpadły, czy wasze kędziory burza rozwiała?!

Tu stoję ja, siedmnastoletnia, nocą na balkonie wiejskiej willi, w nocnym stroju, i upuszczam mój grzebień, byście wy go do ust przycisnęli i pełni wewnętrznej melodyi kroczyli w ciemnych ulicach!

Gdzie jesteście?!? Śniący?! O nas śniący!?

*

Moi panowie, dziś popołudniu tańczyłam na łące w starym melancholicznym parku książęcym, obu rękoma podtrzymywałam moją suknię i tańczyłam.

Czy będziecie, proszę, o tem śnić dziś w nocy, że ja na łące w starym melancholicznym parku książęcym tańczyłam, i obu rękoma podtrzymywałam moją suknię!?!

Nie chceż nikt śnić o tem dziś w nocy?!?

Śnijcie, śnijcież o tem! O, wy bez snów!

*

Słuchajcie, panowie! Dziś popołudniu tańczyłam na łące w starym melancholicznym parku książęcym — naga — i nie trzymałam obu rękoma sukni, gdyż jej nie miałam, i byłam naga!

Śnijcież o tem! O wy bez snów!

*

Ah, wy przeklęci słuchajcie! Siedziałam w swoim pokoju, grałam i śpiewałam pieśni Griega.

W tem przyszedł wielki pies młodego hrabiego, wlazł pod fortepian, pod moją suknię i lizał moje kolana — — —

Śnijcież o tem!

*

Nędzny, nędzny! Masz mnie, całkiem, całkiem — — —!

Ale śnij o tem! Śnij o tem, błagam cię, przynajmniej dziś i jutro w nocy!

*

Ale on nie śnił o tem, lecz spał silnie i głęboko, jak syte zwierzę — — —

(Tłóm. *J. Sch.*).

Pogadanka naukowa.

MUZYKA LEKARZEM.

Żeby muzyka, ta mowa duszy, mogła być lekarstwem na niemoc ciała — to rzecz chyba nie do uwierzenia. Trzeba być mistykiem, ażeby przypuszczać tak ścisły związek duszy z jej powłoką doczesną, iżby mogła ona wywoływać całe zmiany i przewroty w organizmie. — A jednak są tacy, nawet lekarze, którzy składają dowody tej władzy muzyki, chociaż jeszcze wymykające się z pod ścisłych formuł matematycznych, w jakie współczesny sceptycyzm wszystko zwykł ujmować.

Pewien bogacz-filantrop w Londynie, przekonany o zbawiennym wpływie muzyki, założył pod egidą zakonu Św. Cecylii orkiestrę, która o pewnych godzinach grywała w szpitalach, za specyalnem pozwoleniem. Że dla chorych, którym nudy w szpitalnej atmosferze przysparzać tylko mogą cierpienia, ożywczem była źródłem — nie podlega chyba wątpliwości. I w tych właśnie szpitalach, po ścisłych spostrzeżeniach, stwierdzono, że muzyka działa dodatnio na przebieg chorób.

Przed kilkoma laty pewien lekarz miał w kuracyi dziecko, które, jak to się często zdarza w początkach życia, z powodu nocnych przypadków strachu cierpiało na bezsenność. Po bezskutecznem użyciu wszelkich możliwych środków leczniczych, zwrócił się do muzyki: doradzał matce spróbować gry w sąsiednim pokoju, gdy mały kładł się spać. Przez cztery wieczory stosowano ten sposób i uznano go już za zbyteczny, skutek był zadziwiający, gdy na piątą noc bezsenność powróciła, a następnie stan chorego się pogorszył. Wzięto się znów do muzyki, przerzedzając ją stopniowo i — dokonano istotnie cudu, — uleczono dziecko. Możnaby wiele podobnych przykładów przytoczyć, gdybyśmy mieli na celu napisanie całego studyum w tej kwestyi.

Najrozmaitsze wypróbowano instrumenty od fletu aż do harfy, które zbawienny wpływ swój wykazały w wypadkach, gdzie podstawą choroby był niepokój, wzburzenie duchowe. Cofnijmy się tu na chwilę do przeszłości. Już w starożytnych pismach, które nam się w spuściźnie z grobowców Faraonów dostały, znajdujemy przepisy, jakiemi śpiewy sztuka lekarska uzupełnioną i udoskonaloną być może. A w wiekach średnich, gdy po strasznych klęskach wojny całe ludy zapadały w stan odrętwienia, niczem nie dało się uspokoić epidemicznie grasującego szału i obłędu jak tonami. Tak samo u Włochów, ukąszonych, jak głosi podanie, przez tarantulę, jak też u Germanów, ulegających tańcowi Św. Wita.

Ażeby się przekonać o wpływie muzyki na chorych, należy przedewszystkiem zbadać, jakie zmiany wogóle wywołuje muzyka w organizmie zdrowego człowieka. Podług dotychczasowych doświadczeń, wywiera ona przedewszystkiem wpływ na obieg krwi nietylko u ludzi, ale i u zwierząt; pojedyńczym tonom i akordom w wielu wypadkach towarzyszy zwiększona czynność serca, a ciśnienie krwi zmienia się się stosownie do wysokości i siły tonu, nawet jego barwy. Wreszcie każdy osobnik, tembardziej każda narodowość, wykazuje inne zmiany w organizmie pod wpływem muzyki. Tony jednak nie zawsze działają pobudzająco i nie we wszystkich okolicznościach prowadzą do polepszenia zdrowia. Stwierdza się to doświadczeniem. Siła palców mierzy się specyalnym instrumentem, zwanym Ergograf, i sposobu tego użył pewien słynny fizyolog do oznaczenia wpływu muzyki na energię ciała. Gdy siła palców danej osoby przez dobrowolny wysiłek uległa znużeniu, pod wpływem muzyki zostaje podniesioną, jak to wskazuje Ergograf; nie miewa to jednak miejsca, gdy tony noszą ciężki, smutny charakter, wówczas siła mięśni raczej słabnie a nawet ustaje. Muzyka przeto może oddziaływać zarówno pognębiająco, jak i wzmacniająco, a więc pogorszyć i polepszyć stan zdrowia. To też jeżeli sztuka lekarska uznaje wogóle leczniczą własność muzyki i chce z niej korzystać, powinna posiadać pewne poczucie w wyborze sztuk i tylko takie stosować, które podnoszą siłę żywotną i dodatnie wrażenia pacyenta. Wówczas praktyczne stosowanie właściwie wybranych melodyi może odgrywać wielką rolę w zwalczaniu pewnych chorób. Nie mamy się też czego tak bardzo dziwić, że człowiek stanowi tak podatny grunt na rezonans muzyki, skoro nieożywione przedmioty podlegają władzy harmonii. Jeśli Orfeusz dźwiękami swej harfy nietylko zwierzęta ale i kamienie ku sobie zwabiał, a żaden z współczesnych wirtuozów nie dojdzie do tej doskonałości w sztuce, dla czego niema być w nieorganicznym świecie przedmiotów, które nie potrzebują żadnego Orfeusza, by pod dźwięki harfy lub innego instrumentu wprawione zostały w tany. Muzykalne płomyki są znanym zjawiskiem wśród fizycznych doświadczeń; poruszają się rytmicznie, podług drgań struny wiolonczeli i idą za grą tonów z tak zdumiewającą dokładnością, że sławny fizyk Tyndall wyrzekł o tym fenomenie, iż głuchoniemy po tańcu tych płomieni mógłby widzieć muzykę. Jeżeli cuda takie mogą się dziać z bezwiednymi płomieniami (to samo miewa miejsce z obłokami dymu i powierzchnią wody) dla czegoby wrażliwa dusza ludzka miała się usuwać z pod władzy dźwięków.

Naukowe badania nie ograniczyły się na dociekaniu tych zjawisk jedynie w dziedzinie muzyki, ale sięgnęły dalej do ogólnej harmonii, dostępnej dla człowieka za pomocą innych zmysłów, nietylko ucha. Że istnieje harmonia barw, jest chyba faktem niezaprzeczonym, stwierdzonym gustownym strojem naszych elegantek. W roku 1895 pewien angielski artysta zrobił próbę przełożenia muzyki tonów na muzykę barw i zbudował instrument, który nazwał organem kolorów. Osobliwy ten przyrząd miał klawiaturę, w której każdą nutę zastępowała odpowiednia barwa, a przy grze za uderzeniem klawisza ukazywały się na ekranie barwy. Zwyczajna skala widma słonecznego zamieniała oktawę. Na tym organie kolorów wykonywano utwory Wagnera i Chopina bez dźwięku, ale za to widziane i wywołane tą drogą kombinacye barw miały na widzów tej muzyki wywoływać czarujące wrażenie. Może w przyszłości muzyka ta barw ulegnie szerszemu rozwojowi i stanie się podstawą nowej sztuki, nowej gałęzi artyzmu. Wówczas nie będzie nic dziwnego, jeśli nowa ta odmiana muzyki znajdzie lecznicze zastosowanie, gdyż wpływ piękna barw i form na chorych codzień można konstatować. Wiadomo, że schludne, miłe otoczenie, łagodne, przyjemne światło, przyspiesza powrót do zdrowia rekonwalescentom. Czyż widok kwiatów, budzącej się wiosny z jej zielenią i harmonijną grą barw i kształtów nie wnosi ożywczego tchnienia do pokoju chorego? Jak ciemne, posępne kolory są symbolem żałoby i śmierci, tak są też kolory życia i radości, otrząsające z człowieka chorobliwe nastroje.

Istnienie harmonii zmysłu dotyku lub czucia nie potrzebuje chyba stwierdzania dowodami. Najwymowniejszym przykładem będzie tu kołyska, rytmicznym swym ruchem usypiająca dziecko. Uspakajający wpływ gładzenia skóry znany jest powszechnie. Chińczycy oddawna stosują pewien rodzaj łagodnego masażu do uśmierzania bólów. Niektóre osoby mają zwyczaj w rytmicznym tempie gładzić się po głowie dla sprowadzenia snu i znane są liczne wypadki, w których pewne miarowe czynności, jak np. strzyżenie włosów do snu usposabiają.

Możnaby daleko zajść, snując ten wątek myśli i przejść do muzyki woni i smaku. Począwszy od starożytnych Chaldejczyków, którzy przed pięcioma tysiącami lat żadnego ze swych zmarłych nie pogrzebali, nie zaopatrzywszy go na drogę do wieczności w zapas pachnideł, aż do dzisiejszych wybrednych gustów, człowiek zawsze przywiązywał wagę do wonności, dogadzał zmysłowi powonienia. Zadowolenie zmysłu smaku należy do najbardziej materyalistycznych pragnień człowieka, i smakosz nie weźmie tego za złe, gdy umiejętnie ułożone menu uważać będziemy za rodzaj programu harmonii podniebienia. Pozostaje jeszcze muzyka dusz, której wpływ na zwalczanie chorób jest zbyt oczywisty. Podczas groźnych epidemii każdy raz wznawianą bywa recepta, żeby się przedewszystkiem nie poddawać obawie. Stan przygnębienia, strachu, otwiera zawsze dostęp zarazie. Gdy świadomość zdrowia, sił żywotnych, upada, można człowieka porównać do opuszczonej przez dowódcę fortecy: organizm staje się na wszelkie zło podatnym. Stąd noc jest porą zasłabnięć i śmierci, stąd w ciemności zwiększają się u chorego bóle i gorączka. Potrzebę tę harmonijnego łagodzenia, uśmierzania stanu duszy chorego, dobrze pojmuje każdy lekarz i ci, którzy otaczają cierpiących. W ten sposób muzyka w najszerszym zakresie tego pojęcia odgrywać powinna w lecznictwie jedną z pierwszorzędnych ról.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

(*„Manon" opera w 4 aktach Masseneta — p. L. Esten*).

Dzieje Manon Lescaut, jej sentymentalne nieco i romantyczne przejścia, natchnęły dwóch kompozytorów naszej epoki Pucciniego i Masseneta. Puccini nadał swojej operze charakter namiętny, dramatyczny, szarpiący nerwy napięciem i siłą, Massenet z elegancyą i subtelnością francuską opracował swoje dzieło. Puccini jest głębszy i więcej porywa, Massenet bawi i zaciekawia.

Posiadłszy wszystkie arkana instrumentacyi orkiestralnej, obdarzony z natury wielką pomysłowością w wyszukiwaniu pięknych i oryginalnych pomysłów, stworzył Massenet dzieło zajmujące, choć nie znać w niem lwich pazurów a chwilami robi wrażenie rzeczy świetnie pomyślanej i opracowanej, a mniej odczutej. Wrażenie z Manon Masseneta jest nierównomierne. Ustępy przepiękne mieszają się i z takimi, które noszą zbyt widoczne ślady roboty kompozytorskiej. I tak uwertura jest kompilacyą kilku motywów z opery, które jednak już po kilku taktach urywają się tak, że całość nie robi wrażenia. Akt pierwszy jest stosunkowo najsłabszy. Pewien chaos i brak planu występują co krok. Jedynie duet między Manon a kawalerem de Grieux posiada kilka interesujących momentów. W drugim akcie prócz kwartetu szalenie trudnego, który nieco chromał w wykonaniu naszych artystów (jeden tylko p. Ludwig trzymał się i był należycie dyskretny), znajdują się dwie ciekawe i bardzo piękne arye. Jedna, to arya Manon przy stoliku, druga, to piosnka kawalera de Grieux przy ciekawym akompaniamencie skrzypiec w kwintach i oktawach. Najpiękniejszym jest bezsprzecznie cały akt trzeci, którego kulminacyjnym punktem jest znowu duet kochanków.

Jedynie tym aktem porywa Massenet i przykuwa na dłużej do siebie, dając śpiewakom zarazem świetne pole do popisu. Tutaj znać prawdziwe natchnienie i siłę kompozytora. Dlatego słusznie całkiem ktoś zauważył, że bez trzeciego aktu cała opera nie miałaby racyi bytu.

Duet ostatni nie posiada już tej siły dramatycznej, jakiej domaga się sama sytuacya.

Nie wiemy, dlaczego opuszczono u nas całą pierwszą odsłonę z trzeciego aktu. Czyżby przeraził się nasz balet, tak zresztą ochotny do tańca i do różańca, wystudyowania menueta i gawotta, które to tańce tak wdzięczne są jeszcze dziś i duże dają pole do popisu, a zresztą przez takie skrócenie przerywa się także pewną ciągłość akcyi scenicznej. Słowem Manon Masseneta posiada wszystkie warunki, aby zająć, zaciekawić i podobać się, ale wymaga znakomitego wykonania. Nie mówię już o orkiestrze, której partycya jest trudna w podziałach taktu, pełna niespodzianek i instrumentacyjnych ozdobników, ale myślę głównie o solistach.

Muszą oni po pierwsze, szalenie pewnie umieć swoje partye a tego po największej części brakło w wykonaniu naszych artystów. Kontakt między solistą a suflerem i kapelmistrzem powinien być dyskretny i prawie niewidoczny, a nie tak namacalny prawie i rzucający się w oczy. W przeciwnym razie traci się iluzya a między śpiewakami i muzykalną publicznością błąka się jakaś niespokojna obawa i widmo zupełnego wypadnięcia z roli u artysty.

Mamy jednak nadzieję, że już na następnych przedstawieniach ta chwiejność ustąpi.

P. Strassern z roli Manon wywiązała się mimo obaw ze stron kompetentnych nadspodziewanie dobrze. Nie chcemy przez to powiedzieć, aby w kreacyi jej nie było pewnych braków, ale w każdym razie był to jeden z najszczęśliwszych występów tej artystki. Zwłaszcza trzeci akt śpiewała p Strassern czysto, pięknie i z należytą siłą dramatyczną. Piękny wygląd i bogate stroje przyczyniły się także nieco do ogólnie pomyślnego wrażenia. P. Myszuga nauczył się teraz metody „szanowania się". Polega ona na tem, że przez wszystkie akty śpiewa jak bądź, aż dopiero tam, gdzie ma kulminacyjny punkt swojej roli, raczy się rozśpiewać. Tak też było i w Manon. Takiego czekania na efekt nie możemy pochwalić, jak również i nadużywania przesłodkiego falsetu.

P. Szymański w swojej dość niewdzięcznej partyi był dość niewdzięczny. P. Jeromin, p. Ludwig, p. Ruszkowska, p. Kasprowiczowa i p. Schuppówna — wystudyowali wszyscy świetnie swoje role i trzymali się znakomicie. P. Spettrino za pracę i wystudyowanie Manon otrzymał wieniec, co mu się całkiem słusznie należało.

* * *

P. Lilian Esten po niewdzięcznej i trudnej roli w „Janku" Żeleńskiego, gdzie nie mogła rozwinąć swego talentu w tak ciasnych i powikłanych ramach, otrzymała nareszcie rolę stosowną, piękną i efektowną Santuzzy w Cavaleryi. Występ ten zaciekawił nas, zdumiał i zachwycił. P. Esten bowiem opracowała swoją rolę tak znakomicie pod względem głosowym i scenicznym, że lepszej Santuzzy nie było jeszcze na lwowskiej sceny. P. Esten jęta widocznie i porwana swoją kreacyą grała i śpiewała całą duszą, wszystkiemi nerwami i potrafiła utrzymać świetnie przez cały czas naprężenie tragiczne zdradzanej i oszalałej prawie z bólu kobiety. Potrafiła też mistrzowsko grać na nerwach słuchaczy, którzy teraz dopiero zrozumieli, jak powinno się śpiewać Santuzzę. Wdzięczni za parę chwil prawdziwego zachwytu winszujemy P. Esten sukcesu, czekamy niecierpliwie na jej występ w Manon Masseneta.

Dramat Wyspiańskiego.

Z końcem ubiegłego tygodnia wystawiono na scenie krakowskiej z niebywałem powodzeniem „Wesele" Wyspiańskiego.

W jednem z pism warszawskich znajdujemy taką ocenę tego epokowego niemal znaczenia dzieła:

Żaden ze współczesnych pisarzy dramatycznych nie posiada w tym stopniu zdolności kojarzenia w swych utworach żywiołu fantastycznego z realnym, prawdy z urojeniem, gorącego uczucia z chłodną refleksyą filozoficzną, jak Stanisław Wyspiański. Jego dramaty to nie dzieła sceniczne we właściwem tego słowa znaczeniu, ale poetyckie jakieś fantazye, w których dusza twórcy ulatuje na skrzydłach marzeń w sfery pozaświatowe, w których poetyckie natchnienie autora czerpie swą siłę częścią z objawów życia współczesnego, częścią zagłębia się w historyozofii dziejów i snuje obrazy, pełne siły i czaru, wstrząsające sercem i uczuciem. A obrazy te rysuje bujna fatazya artysty, który w sztuce tworzenia jest bezsprzecznie jednym z największych indywidualistów współczesnych. Można się w pewnych razach nie godzić na jego zbyt wysoką zbyt skomplikowaną formę, można mu zarzucić brak prostoty w niektórych pomysłach czy sytuacyach, trudno wszelako zaprzeczyć, że każdy utwor nosi wybitne piętno wielkiego talentu, każdy jest utworem poety-myśliciela.

Wystawione na scenie naszej „Wesele" jest w wyższym, niż inne utwory Wyspiańskiego, stopniu fantazyą poetycką i zarazem dokumentem literackim życia współczesnego. Nie ma tu ani akcyi, ani nawet osnowy we właściwem znaczeniu tego pojęcia, ale jest wielka baśń poetycka, oparta o tło życia realnego, na które wyobraźnia autora rzuca szereg wizyi, przesuwających się jak cienie chińskie latarni magicznej.

We wsi Bronowicach pod Krakowem odbywa się wesele córki włościańskiej z poetą. Na weselu są „pany i chłopy" i w tem pomieszaniu dwóch stanów rysują się całe światy odrębnych pojęć i przekonań, kiełkujących w duszy zgromadzonych tu ludzi. Niema tu zwykłego podziału na sceny, jest tylko ciągły dyalog dwóch lub dwojga osób, kolejno ukazujących się na scenie i wypowiadających swe myśli o uroczystości dzisiejszej.

A potem w drugim akcie pomiędzy rzeszę weselników zstępują fantastyczne postaci. Przed młodą włościanką staje widmo dawno pogrzebanego kochanka i obejmuje ją grobowym uściskiem; przed dziennikarzem, szukającym dróg dla swej myśli, staje widmo Stańczyka w stroju błazeńskim z kaduceusem w dłoni i nielitościwem szyderstwem rzuca mu w duszę jad zwątpienia; przed chłopem staje widmo bratobójczego Szeli; przed poetą Zawisza Czarny, dający mu moc twórczego słowa; przed malarzem wreszcie duch lirnika ze złotym rogiem.

W chacie weselnej gromadzi się moc ludu, zwołanego złotym rogiem. Tworzy się wielki, pełen słonecznych barw, żywy obraz. I tylko nie wiadomo, czy dzieje się to wszystko we śnie, czy na jawie. Już promień świtu musnął okna chaty i powitał cały zebrany tam w gotowości i oczekiwaniu tłum. Lecz wszyscy zapatrzeni w jeden punkt martwieją i wrastają w ziemię, przemieniają się w skamieniałe widma.

Jak na znanym obrazie Malczewskiego „Błędne koło", zbity w jedną masę, wpatrzony w jeden punkt, tłum oczekuje hasła. Ale wysłannik zgubił złoty róg, na którym miał uderzyć pobudkę. Wtedy zjawia się fantastyczna postać Chochoła — chodzący snop słomy o ludzkich konturach — i ponurym głosem gromi wysłańca:

Miałeś, chamie, czapkę z piór,
Miałeś, chamie, złoty róg,
Czekał was wawelski dwór...

a potem rozlega się odgłos skrzypiec i cały ten zbity tłum budzi się z odrętwienia, mężczyźni stają naprzeciw kobiet i ustawiona parami rzesza weselna tworzy ten sam barwny obraz wesoło pląsających par, jakim autor rozpoczął swą sztukę...

Dziwna ironia poety i dziwne splecenie poetyckiej fantazyi artysty-malarza z poziomym realizmem istnienia.

Na określenie rodzaju i scharakteryzowanie pomysłu p. Wyspiańskiego, jako dzieła scenicznego, brak wyrazu w terminologii literackiej. Ale po dziele tem pozostaje w duszy wrażenie wstrząsające, wywołane siłą inwencyi poetyckiej i potęgą nastroju.

Ze świata.

Rafał Maszkowski, głośny dyrektor wrocławski stowarzyszenia orkiestrowego, zmarł w tych dniach w Wrocławiu, skutkiem choroby raka, przeżywszy lat 63. Urodzony we Lwowie, uczęszczał do konserwatoryum w Wiedniu i Lipsku i kształcił się w grze skrzypcowej; cierpienie nerwowe zmusiło go wszakże do zaniechania skrzypiec. Poświęcił się zawodowi dyrektorskiemu i na tem polu zyskał szeroki rozgłos. Do Wrocławia przybył w r. 1890; dyrygował też orkiestrą berlińską, jako następca Bülow'a.

*

Książę Luitpold bawarski, którego osiemdziesiątą rocznicę urodzin obchodzono w tych dniach uroczyście w Monachium, powołany był do rządów rejencyjnych w 65 roku życia. Widział umierających pięciu królów ze swego domu: Maksymiliana Józefa, swego dziada, pierwszego króla Bawaryi; Ludwika I, swego ojca; Maksymiliana II i Ottona, który był królem greckim, swoich braci; wreszcie Ludwika II, swego synowca. Śmierć tragiczna króla Ludwika II, który, jak wiadomo, utonął w jeziorze Starnberskiem, uczyniła bardzo kłopotliwemi pierwsze lata rejencyi, gdyż lud bawarski, uwielbiający swego króla, pomimo jego ekscentryczności i zbytków, z trudnością przyzwyczajał się do księcia-rejenta. Książę Luitpold, jak wszyscy zresztą książęta z domu bawarskiego, ma rozwinięte w wysokim stopniu upodobania artystyczne, zwłaszcza zaś smakuje w malarstwie i rzeźbie. Od czasu śmierci żony, zmarłej w r. 1864, książę mieszka z córką, księżniczką Teresą, kobietą niezwykle wykształconą, mówiącą jedenastu językami, członkiem Akademii nauk. W domu księcia przebywa także siostra, księżna Modeny. Książę jest zawołanym myśliwym. Pomimo sędziwego wieku spędza część lata i jesień w górach.

*

Zola i Legia honorowa. Jak wiadomo Zola, z powodu roli czynnej, jaką odegrał w sprawie Dreyfus'a, został zawieszony w randze oficera Legii honorowej. Obecnie senator Trarieux, prezes Ligi praw człowieczych, zawiadomił Zolę w otwartym liście, iż mocą prawa o amnestyi zawieszenie to zostało zniesione. Trarieux zasięgał w tej sprawie osobiście wiadomości u sekretarza generalnego rady orderu Legii honorowej i otrzymał zapewnienie, iż tak jest istotnie. „Nie mam potrzeby winszować panu z tego powodu“, pisze Trarieux; „ale niechaj mi będzie dozwolonem cieszyć się dla Legii honorowej, że się tak stało. Wszak byłaby to w jej historyi plama niezmazana, gdyby pan, jeden z najsławniejszych legionistów, został z jej szeregów wygnany i to z powodu wspaniałego, odważnego czynu, który przynosi panu największy zaszczyt.“

*

Edmund Rostand, na wieść, że dwaj głośni kompozytorzy włoscy, Puccini i Leoncavallo, chcą z „Cyrano de Bergerac'a“ wykroić libretto do opery, — zabronił takiego zużytkowania swego dzieła. „Kwestya“, piszą dzienniki włoskie, „czy kompozytorzy zastosują się do tego. Verdi również przeciw woli Wiktora Hugo zużytkował na libretta do oper „Ernaniego“ i „*Le roi s'amuse*“ (Rigoletto), a te dramaty autora „Nędzników“ są dzisiaj znane jedynie jeszcze dzięki melodyom Verdi'ego.

*

Historyę monety wydał świeżo w Londynie lord Avebury. Trudne jest do pojęcia, iż ludy, które zbudowały świątynie asyryjskie, sfinksy i piramidy, nie używały monet w dzisiejszem tego słowa znaczeniu. A jednak, o ile się zdaje, nie używały ich. Wyraz „pieniądz“ w Piśmie świętem tłumaczyć właściwie należy przez „srebro“, a „sztuka srebra“ dotyczyła wagi tego metalu. Starójudejskie „szekel“ znaczyło „wagę“, to co obecnie oznacza nasz „funt“. Według świadectwa Herodota, pierwsze właściwe monety są pochodzenia lydyjskiego. Jedna z monet Krezusa ma odcisk tylko na jednej stronie, jest zaś formy owalnej. Z monet staroangielskich najstarsza jest pochodząca z czasów Henryka VII, z portretem Henryka VII. Był czas, gdy używano w charakterze monet drobnych sześciokątnych kawałków złota lub srebra; za monety służyły także niegdyś odłamki pierścieni lub bransolet, zwane „skillingi“, zkąd powstała dzisiejsza nazwa angielskiego szylinga. Oryginalne a niewyjaśnionego pochodzenia przejście od form handlu zamien nego do pieniędzy, stanowi zwyczaj używania płótna lub noża w sensie miary wartości. Tak naprzykład najstarsze starochińskie monety przedstawiają dwa rodzaje pieniędzy: „Pus“, wyobrażające w niezgrabnem wykonaniu rysunek koszuli, i „Taos“, mające formę noża. Monety te pochodzą z r. 4100 przed narodzeniem Chrystusa. Monety w formie szabli używane były w Persyi przez czas krótki. Z czasem klingę skrócono, rękojeści nadawano kształt okrągły z otworem pośrodku. W końcu klingę odrzucono zupełnie, tak, że pozostało samo wyobrażenie rękojeści z otworem. Formę tę zachowali chińczycy swej w monecie miedzianej „kasz“, używanej dotychczas.

*

Nowe pismo p. t. *La Revue du Bien dans la Vie et dans l' Art* zaczęło wychodzić w Paryżu. Jest to miesięcznik, poświęcony kronice dobrych czynów i ofiar bohaterskich, dzieł filantropii, oświaty publicznej, szerzenia idei pokojowych i humanitarnych i t. d. Redaktorem tego wydawnictwa jest p. Marek Legrand, poeta, który przetłómaczył niedawno szereg utworów Krasińskiego, Konopnickiej, Tetmajera i in.

*

Najdroższą okładką na świecie jest chyba oprawa rękopisu Koranu, ofiarowana przed laty przez emira Afganistanu szachowi perskiemu. Okładka ta ze szczerego złota, ozdobiona klejnotami, przedstawia wartość 750.000 fr. Tak przynajmniej twierdzi jeden z konserwatorów muzeum brytańskiego, który przed paru tygodniami oglądał tę niezwykłą okładkę w Isnan-Ruza, gdzie księga znajduje się w archiwum miejscowej świątyni mahometańskiej. Oprawa ze złota grubości 7 milimetrów ozdobiona jest rzeźbami symbolicznemi, wysadzanemi 109 dyamentami, 122 rubinami i 167 perłami. Książka ma 25 centymetrów długości przy 10 centymetrach szerokości. Test Koranu, pisany ręcznie na pergaminie, ilustrowany jest pięknemi malowidłami miniaturowemi.

*

Jubileusz okulistyki. Uniwersytet wiedeński w początku r. z. święcił jubileusz anatomii, której metodycznemu traktowaniu on pierwszy dał początek, obecnie zaś przypomniano sobie, że właśnie mija sto lat od chwili, gdy ukazała się we Wiedniu pierwsza książka, omawiająca naukowo hygienę oka. Rok 1800-tny stanowi początek epoki, w której okulistyka w metodycznym rozwoju, dzięki specyalnym badaniom, dosięgła wyżyn obecnych. Przy sposobności zaznaczyć się godzi, iż pierwsze wskazówki, świadczące o tem, że już w zamierzchłych czasach znajdowali się specyaliści w fachu okulistycznym, znajdują się w dziele, wydanem w 1583-im roku. Napisał je pewien lekarz nazwiskiem Bartisch. Dopiero jednak w r. 1800-ym ogłosił pierwszy profesor okulistyki na uniwersytecie wiedeńskim, Jerzy Józef Beer, dzieło naukowe o hygienie oka, które jest podstawą traktatów lekarskich, zajmujących się tą gałęzią wiedzy medycznej. Drugie epokowe dzieło p. t. „*Die Pflege der Augen im gesunden und kranken Zustande*“ napisał również profesor uniwersytetu wiedeńskiego, dr. Arlt, w 1846-tym r. W tym mniej więcej czasie, t. j. w połowie XIX stulecia, nastąpił przewrót w okulistyce, dzięki badaniom profesorów Helholza, Gräfego i Dondersa.

Bańki mydlane.

(BOCIANY).

Poniosła oczy w przestrzeń uwiośnioną...
...Dokoła błękit rozlewał się w ciszę...
Tylko pod słońca banderą złoconą,
Tam, gdzie się jutrznia na zorzy kołysze —
W wirze promieni — jak pył zabłąkany,
Płynęły one... Poznała... Bociany!

Poznała skrzydła rozpięte lazurem —
Żagle rozwiane w stronę mazowiecką!
Poznała ptaki, szybujące sznurem...
I zaklaskała w dłoń, jak małe dziecko,
I biegła ku nim przez wiosny, przez lata
Równianką wspomnień, którą pamięć splata!

...Był dwór.. Szlachecki dworek w lip robronie,
Przy dworku sadek z puchami czereśni...
Za sadkiem rzeczka, za rzeczułką błonie,
Gdzie stare olche wydzwaniały pieśni —
Do olch wężykiem prowadziła ścieżka,
Na ścieżce bocian... Przyniósł jej braciszka!

...I znowu była wiosna, dziwnie słodka!
Znów jej bociany gędźbiły klekoten!
U piersi mała kwiliła pieszczotka —
Aniołek — tkany chabrami i złotem...
Pamięta wszystko! jakby dziś pamięta
Kędziorki płowe i modre oczęta!

...Potem... ach potem! przeszło wiosen wiele,
O każdej bocian powracał wróżbitą,
Aż do tej strasznej.. gdy w wiejskim kościele
Płonęły woski, gdy ją w kir zaszyto,
Gdy dzwon pogrzebny spłoszył ptaka z gniazda —
A jej najdroższa zgasła, dziecko — gwiazda!

I odtąd żadnej już nie miała wiosny...
. . . .
Wspomnienia nikłem zakwitły rumieńcem...
Z błękitów pogłos doleciał żałosny,
Ptaki nad ziemią zatoczyły wieńcem
I padły znane powitać kurhany...
. . . .
Z drżących warg wybiegł szept cichy: Bociany!

El.

Do dzisiejszego numeru dołącza się cennik kapeluszy magazynu Marcina Müllera.

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy B nku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 12—52

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

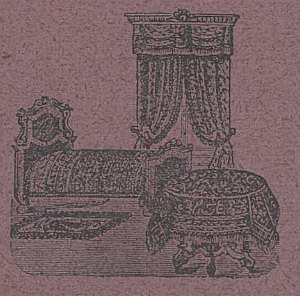
FABRYKA LWÓW MICKIEWICZA L. 2

20—52

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych, ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.

(pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.

16—44

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	Boa gazowa	Aplikacye
Wielki wybór	Szale jedwabne	Pasmanterye
Ceny niskie	Żaboty	Paski
	Weloniki	Gorsety.

21—52

KAROLA BALLABANA następca

Józef Oźmiński, Lwów, Halicka 23.

poleca **HERBATY chińsko-rosyjskie**

ciemno naciągające aromatyczne w najlepszej jakości:

Pół klg. kongo cesarsk.	zł. 2·—	Pół klg. imperiał . .	zł. 5·—
„ „ familijnej . .	„ 3·—	„ „ okruchów (wysiewek własn.)	„ 1.60
„ „ melange . .	„ 4·—		

Kawy bezpośrednio sprowadzane

w woreczkach po $4^3/_4$ klg. opłacone do każdej stacyi pocztowej.

$4^3/_4$ klg. Ceylon najlepszy	zł. 10·70	$4^3/_4$ klg. Santos . . .	zł. 6·50
„ „ „ gruboziar.	„ 10·40	„ „ Ceylon perłow.	„ 10·70
„ „ „ b. dobrej	„ 10·—	„ Mocca arabsk.	„ 10·70
„ „ Portorico . . .	„ 9·20	„ „ Jawy złotej .	„ 10·70
„ „ Karakas arom. b dobrej . . .	„ 7·—	☛ **Kawy palone** w najlepszych gatunkach.	

2—4

!Portrety olejne!

Wedle fotografii

na płótnie.

!!!Zadziwiająco tanio!!!

a także i na raty.

Wykonywane w kraju.

Jedyna agencya

K. CZAPEK

we Lwowie 8—?

ulica Kochanowskiego 18.

W interesie ludzkości!

Kto chce być zdrowym niech pije

K A W O N

Jest to kawa pozbawiona alkaloidów, a tem samem wszelkich narkotyków, które drażnią nerwy, szkodliwe są na serce i na piersi. Kawon powinni pić osłabieni i rekonwalescenci, dzieci i anemiczni. Przyrząd za się go zupełnie tak samo, jak kawę t. j. zaparza w maszynce lub gotuje się z mlekiem lub śmietanką, bez żadnej domieszki cykoryi. Sądzę, że społeczeństwo nasze zechce zrozumieć doniosłość tego wynalazku dla dobra własnego, a jestem przekonany, że kto raz spróbuje Kawonu, kawy pić nie będzie.

Cena pakietu na 12 szklanek 40 hal. (20 ct.)

Uprasza się zwracać baczną uwagę na markę ochronną z serduszkiem.

Dostać go można we wszystkich handlach korzennych i drogueryach.

Zamówienia na prowincyę od 10 paczek wysyła kantor, Lwów, Chorążczyzna 19.

8—12 **Artur Doliński i sp.**

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 22—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Nowo otworzona restauracya w pasażu kryształowym niniejszem ogłasza Sz. P. T. Publiczności, iż lokal otwarty do godziny 1. w nocy przy muzyce pułku 30-go.

Zaopatrzona w doborowe gatunki win, likierów i wódek oraz świeże piwo pilzneńskie.

Kuchnia zadowolnić może najwybredniejszych smakoszy; udowodnić mogę podziękowaniami, jakie otrzymałem za smaczne i punktualne wykonanie.

Z szacunkiem

4—52 **LEON ORŁOWSKI.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5